



GOPLANA

1870  
1871  
1872  
1873  
1874  
1875  
1876  
1877  
1878  
1879  
1880  
1881  
1882  
1883  
1884  
1885  
1886  
1887  
1888  
1889  
1890  
1891  
1892  
1893  
1894  
1895  
1896  
1897  
1898  
1899  
1900

7/29  
Nancy Krieskie





COPLANA.

~~...~~  
L. H.

~~...~~  
Dublin



# GOPLANA.

Upleć wianek z mego kwiatku  
Wianek to będzie nad wianki,  
*Pierwiosnek.*

A kto dziewczyna?... ja nie wiem.  
*Suszezianka.*



POZNAŃ I BERLIN.

KSIĘGARNIA B. BEHR A.

(E. BOCK.)

21, ULICA  
WILHELMOWSKA.

27, POD LIPAMI.

1866.

B.17691



1000173374

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

*Liter. 13a*

*K. 941/58/142*



DO  
MARYI JANUSZKIEWICZÓWNY  
W  
OSIEKU.

Ze starożytnego grodu Piastów posy-  
łam Ci, Moja Kochana, w strony podnóża  
Karpat, wiązkę drobnych kwiatków, uzbie-  
ranych na naszej niwie.

Przyjm ją życzliwie i jako dowód, że  
uniknąwszy przed wieki nieszczęsnego  
losu Popielów, żyję dotąd jeszcze i pamię-  
tam o Tobie

GOPLANA.

MARY JAMBERKIN WIGGLESWORTH

1869-1907

The following is a list of the  
titles of the books written by  
Mary Jambek Wigglesworth  
from 1869 to 1907.  
The titles are given in the  
order in which they were  
published.

1869

## T R E Ś Ć.

	Strona.
Hymn Bogarodzica, <i>S. Wojciecha</i> . . . . .	1
Cnota, <i>Mikołaja Reja</i> . . . . .	4
Treny, <i>Jana Kochanowskiego</i> . . . . .	5
Nadziei nie trzeba traćć, <i>tegoż</i> . . . . .	8
Zamożność ziemi polskiej, <i>Seb. Fab. Klonowicza</i> . . . . .	10
Śroczka; <i>Szymona Szymonowicza Hendońskiego</i> . . . . .	13
Rozolanka, <i>Szymona Zimorowicza</i> . . . . .	14
Cnota akarb prawdziwy, <i>Macieja Kaz. Sarbiewskiego</i> . . . . .	16
Szczygiolak, <i>Stanisława Grochowskiego</i> . . . . .	17
Oracz do skowronka, <i>Jana Gawińskiego</i> . . . . .	19
Wiosna, <i>Elżbiety Drużbackiej</i> . . . . .	20
Paclerz Staruszką, <i>Adama Naruszewicza</i> . . . . .	23
Marnotrawstwo, <i>Ignacego Kranickiego</i> . . . . .	27
Bajki: Ptaszki w klatce, <i>tegoż</i> . . . . .	32
Wilk i Owce, <i>tegoż</i> . . . . .	33
Kulawy i ślepy, <i>tegoż</i> . . . . .	34
Zofjówka, <i>Stanisława Trembeckiego</i> . . . . .	35
Matka Obywatelka, <i>Fran. Dion. Książnina</i> . . . . .	38
Do Obywatela, <i>tegoż</i> . . . . .	40
Filozof, <i>Tom. Kaj. Węgierskiego</i> . . . . .	42

Duma Ludgardy, <i>Franc. Karpińskiego</i> . . . . .	42
Powrót z Warszawy na wieś, <i>tegoż</i> . . . . .	47
Hymn do Boga, <i>Jana Pawła Woronicza</i> . . . . .	51
Leszek biały, <i>Juliana Ursyna Niemcewicza</i> . . . . .	60
Mowa Zygmunta Augusta do Posłów, <i>Aloizego Felińskiego</i>	64
Maryja, <i>Matejczakiego</i> . . . . .	67
Szanuj każdego, <i>Wojciecha Bogusławskiego</i> . . . . .	71
Oda do Joulusza, <i>Stefana Garczyńskiego</i> . . . . .	72
Chłopcy, <i>Kazimierza Brodzińskiego</i> . . . . .	74
Ballada, jakich wiele, <i>J. N. Jaskólewskiego</i> . . . . .	76
Rdże, <i>Edmunda Wsielewskiego</i> . . . . .	82
Prostak wlejski, <i>Stefana Witwickiego</i> . . . . .	84
Wezole (Jan Błocki), <i>Juliusza Słowackiego</i> . . . . .	86
Krzesełwo, krzoniłci i hubka, <i>Stan. Jachowicza</i> . . . . .	80
Staś (bajki), <i>tegoż</i> . . . . .	91
Wieś, <i>tegoż</i> . . . . .	92
Pieśń Wajdeloty (Konrad Wallenrod), <i>Adama Mickiewicza</i>	95
Łowy (Pan Tadeusz), <i>tegoż</i> . . . . .	103
Powrót Taty ballada, <i>tegoż</i> . . . . .	113
Chimek z głozy M. Tetussy, <i>Zygmu. Kraszńskiego</i> . . . . .	117
Łza, <i>Frauciszka Muszarskiego</i> . . . . .	123
Żniwo (Ziemiaństwo Polskie), <i>Kaj. Koźmiana</i> . . . . .	124
Legenda, <i>J. Holubińskiego</i> . . . . .	129
Wspomnienie, <i>Sienkiewicza</i> . . . . .	131
Okolice Krakowa, <i>Fran. Wędyku</i> . . . . .	133
Lalka, <i>Wł. Syrokomli</i> . . . . .	135
Odlutki i poeta, <i>Alex. Fredry</i> . . . . .	138
U nas Inaczéj, <i>Józ. Bohdana Zaleskiego</i> . . . . .	141
Rozkoszna, <i>Jedynn, Sew. Goszczyńskiego</i> . . . . .	144
Litwa (pieśń o ziemi naszej), <i>Wincentego Pola</i> . . . . .	146
Jakimżna, <i>Ant. Edur. Odyńca</i> . . . . .	153
Zuch, <i>Alex. Chodźki</i> . . . . .	157

Czemu mi smutno? <i>Gabryelli Żmichowskiej</i> . . . . .	159
Skarga wieszczca, <i>Lucejana Siemińskiego</i> . . . . .	163
Wieszczka, <i>Deotymy</i> . . . . .	165
Śmierć Olgerda (Witoldowe boje), <i>J. J. Kraszewskiego</i> . . . . .	168
O Przeznaczeniu człowieka, <i>Tr. Grzymały</i> . . . . .	173
Czego nam trzeba? <i>Teofila Lenartowicza</i> . . . . .	175
Tęsknota za krajem, <i>Konst. Gaszyńskiego</i> . . . . .	179





## Wymowa Bogarodzica.

(Pieśń ułożona przez Patrona Polski Sgo. Wojciecha męczennika  
i śpiewana w polskich kościołach już przez lat przeszło  
ośmset.)

**B**og ar o d z i c a B i e r m i c a, K o n i e m s ł o w i a n o  
M a r q u a, a M e r g o S q n o h o s p o d o c a (¹)  
M a t k a j o w c o a (²)  
M a r q u a, p i e ś c i n a m, s p a ś c i n a m  
K r o c i e e l e j s o n M e r g o s q n o  
C h r y s t i e r a j b o j a c (³) t y s.  
S i t a s j g ł o s q, n a p e t n i j m o ś l i c y l o w i e c z e  
S t a s j m o d l i t w e j, j e n j e (⁴) C i e j p r o s i m q,  
C o d a ć r a c y q, t e g o j (⁵) p r o s i m q:  
D o j n a ś m i e c i e j b o j a c j p o b a t,  
P o j a m o c i e R a j s k i p r z e b a t,  
K r o c i e e l e j s o n.

(¹) panna. (²) z Baskiej woli. (³) pobożny. (⁴) pokornie,  
z jękiem. (⁵) Także.

Narodził się dla nas Jan Boży.  
 W to wierzyć zstawięcie i boją,  
 By przez trud (¹) Bóg swój lud  
 Odkupił z diabła i straję.  
 Przygotował nam i brania wierzywego  
 Starość (²) i karmot piekelnego.  
 Śmierć podjął, napromionując zstawięcia pierwowego  
 Jesteście trudną cierpiot bieżniernę,  
 Jesteście był nie przospiał to wierze,  
 Aże sam Bóg iwaistwaqchwałot.

Adamie ty Boży Kmiecio (³)  
 Co siebiesz o Boga w miarę (⁴)  
 Domieść nas swe dyeci gdyte kędioją Anieli:  
 Com robosc, tam milość, tam miłjenje  
 Cmorę Anielskie bei kobra:  
 Co się nam ijamito diable polepienie.

Ni srebrni ni złotem nas i pirko odkopit,  
 Swą macą jastąpit.  
 Dla ciebie zstawięcie dał Bóg przykłość sobie  
 Boh, rzece, oodte obie;

(¹) Mękę. (²) Władzę. (³) Sługo. (⁴) W Radzie: In consilio Justorum.



Կրեա սուշո սևո յ Ծոհո սո յծաւորոն Էծիւ  
 Սուշոն ա ետ րտաւորոն. ի Երես Շրատ քրաւ,  
 Շրտիտ ա ոս քոն,  
 Ինչ սուշո կրա քրտիտ, ա ոս Շիւքուիտն.

Եւ յոս րոս յոյնոս քրտիտ սի կոյոյ,  
 Կրոն զիւսո ծոյ  
 Եւ արտի սեւանի Սեո արտարի.  
 Սուշո Սուշոն, քոս Ինո սուշո,  
 Կուս Սիւսիւտիտ,  
 Ինչ ոս քրտիտ սե արտոն Սեո.  
 Ինչոն սուշոն քրտիտ:  
 Կոս քրտիտն արտարոյն:  
 Կոսն յ արտի քրտիտ:  
 Եւս Շրտն զիւտի.  
 Շրտն ոս ծաւորոն, Եւս Շրտն արտ.  
 Կոսն յ Եոս ծոյ,  
 Եւս սի ոս արտն յոյ Սիւսիտ սի.  
 Կոս, արտ, արտ, արտ,  
 Կոս, արտ, արտ (') տոս Ծոյ ծոյ.  
 Կոսն քրտիտ արտն ա Կոյ.  
 Եւսն կրտիտ Կուտի.

(') Ուտ սի տուտ. Տրաւ քուտ.

## CNOTA.

Cnota jest klejnot nieoszacowany  
Bo ta ozdobi ubogie i pany  
Cnota się błyszczy nad nad wszystkie szmaragi  
Na żadnym targu jej nie najdzie wagi  
Wszystko się zmienić musi przy człowieku;  
Lecz cnota święta, ta z nim trwa do wicku.  
Mocna to zbroja z pościwością cnota,  
Ta sławy strzeże a broni kłopotu,  
Cnota na świecie jest wielka królowa  
I w dziwnej sławie swe dworzany chowa.

MIKOŁAJ REJ z NAGŁOWIC.

## TRENY.

Urzulo moja wdzięczna! gdzieś mi się podziła?  
 W którą stronę, w którąś się krainę udala?  
 Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wniesiona,  
 I tam w liczbę Aniołów małych policzona?  
 Czyliś do raju wzięta, czyliś na szczęśliwe  
 Wyspy zaprowadzona? czy cię przez tęskliwe  
 Charon jeziora wiezie, i napawa zdrojem  
 Niepomnym, że ty niewiesz nic o płaczu moim?  
 Gdy człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze,  
 Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?  
 Czyli się w czyścju czyścisz, jeżeli z strony ciała  
 Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?  
 Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwej była,  
 Niześ się na mą ciężką żalność urodziła?  
 Gdziekolwiek jest, jeżeli jest, lituj mój żalności,  
 A nie możeszli w onęj dawniej swej całości,  
 Pociążyć mię, jako możesz, a staw się przedemną  
 Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nikczemną.

Żaden ojciec podobno bardziej nie miłował  
 Dziecięcia, żaden bardziej nad mię nie żałował;  
 A też ledwie się kiedy dziecię urodziło,  
 Coby łaski rodziców swych tak godne było.

Ochędzone, posłuszne, karne, niepieszczone,  
 Śpiewać, mówić, rymować, jako co uczone;  
 Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę,  
 Obyczaje panieńskie unieć i zabawę;  
 Roztropne, obyczajne, ludzkie, nie rzowniwe,  
 Dobrowolne, układne, skromne i wstydlive.  
 Nigdy ona porannu karnie niewapomniła.  
 Aż pierwój Bogu swoje modlitwy oddała:  
 Nie poszła spać, aż pierwój matkę pozdrowiła,  
 I zdrowie rodziców swych Bogu porzuciła,  
 Zawždy przeciwko ojcu wszystkie przebyć progi,  
 Zawždy się uradować i przywitać z drogi.  
 Każdej roboty pomódz, do każdej posługi.  
 Uprzedzić było wszystkie rodziców swych sługi.  
 A to tak w małym wieku sobie poczyniała,  
 Że więcej nad trzydzieści miesięcy nie miała.  
 Tak wiele cnót jój młodość i takich dzielności  
 Nie mogła znieść: upadła od swojej bujności,  
 Żniwa nie doczekawszy. Kłosisie mój jedyny,  
 Jeszcześ mi się był nie stał, a ja twój godziny  
 Nie czekając, znowu cię w smutną ziemię sieję;  
 Ale pospolu z tobą grzebie i nadzieję:  
 Bo już nigdy nie wznidzisz, ani przed mojema,  
 Wiem wiecznie zakwitniesz smutnemi oczema.

Moja wdzięczna Urszulo, bodaj ty mnie była  
 Abo nicumierała, lub się nie rodziła.

Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim,  
 Za tym nieodpowiednym pożegnaniem twoim.  
 Omyliłaś mię jako nocny sen znikomy,  
 Który wielkością złota cieszy zmysł łakomy,  
 Potem nagle uciecze, a temu na jawi  
 Z onych skarbów jeno chęć a żądzę zostawi.  
 Takeś ty mnie Urszulo droga uczyniła:  
 Wielkieś nadzieje w mojem sercu rozniecila,  
 Potemes mię smutnego nagle odbieżała,  
 I wszystkie moje z sobą pociechy zabrała.  
 Wzięłaś mi, zgoła mówiąc, dusze połowicę:  
 Ostatek przy mnie został na wieczną tęsknicę.  
 Tu mi kamień mularze ciosany położycie,  
 A na nim tę nieszczęsną pamiątkę wydróżcie:  
*Urszula Kochanowska tu leży, kochanie*  
*Ojcowe, albo raczěj płacz i narzekanie,*  
*Opakeś to niebaczną śmierci udziałoła;*  
*Nie jać oněj, ale mnie ona płakać miała,*

KOCHANOWSKI JAN.

## NADZIEI NIE TRZEBA TRACIĆ

Nie porzucaj nadzieje,  
 Jakoć się kolwiek dzieje:  
 Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,  
 A po złej chwili piękny dzień przychodzi.

Patrzaj teraz na lasy,  
 Jako przez zimne czasy  
 Wszystkie są krasę drzewa utraciły,  
 A śniegi pola wysoko pokryły.

Po chwili wiosna przyjdzie.  
 Ten śnieg zniegła zejdzie,  
 A ziemia, skoro słońce jej zagrzeje,  
 W rozliczne barwy znowu się odzieje.

Nic wiecznego na świecie:  
 Radość się z troską plecie:  
 A kiedy jedna weźmie moc nawiętsza,  
 Wtenczas masz ujrzeć odmianę najprętszą.

Ale człowiek szardzieje,  
 Gdy mu się dobrze dzieje,  
 Więc też kiedy go fortuna omyli,  
 Wnet głowę zwiesi i powagę schyli.

Lecz na szczęście wszelakie  
Serce ma być jednakie:  
Bo z nas fortuna w żywe oczy szydzi.  
To da, to weźmie, jako się jej widzi.

Ty nie miej za stracone,  
Co może być wrócone:  
Sila Bóg może wyrzucić w godzinie;  
A kto mu kolwiek ufa nie zaginie.

KOCHANOWSKI JAN.

## ZAMOŻNOŚĆ ZIEMI POLSKIEJ.

Każdy w granicach ojczyzny swój, chleba  
Może dostawać ile mu potrzeba  
Może zaniechać morskiej nawałności  
Kwoli żywności.

Lecz miła Polska na żyznym zagonie  
Zasiadła, jako u Boga na łonie.  
Może nie wiedzieć Polak co to morze  
Gdy pilnie orze.

Tu Ceres nową osadziła wola,  
Opuściwszy tam Sycylijską rolę.  
Tu żyta rodzi niezliczone łasztę  
Brogi jak baszty.

Tu gumna w szczérych polach stoją łojne  
Tu wzór bogaty, tu żniwa spokojne;  
Tu chłoppek wesół, bo pewnie ma wszystko  
Kiedy ma żytko.

Niech kto chce chwali Azyą urodną,  
Niech chwali Egipt, i Nilową płodną  
Soczną. Polska ma dosyć owszeki  
Choć w brzegach rzeki.



Tu zwierzu dosyć, tu bydło rogate.  
 Tu woly tuczne i owce kosmate,  
 Pasą się w łąkach jałowice tłuste,  
 I kozy puste.

Stąd ma gospodarz i sprzężę do pluga  
 Stąd ma odzieżę pan i dobry sługa  
 Stąd mięso świeże, nabiału dostatek  
 W mieszek ostatek.

Gęsi moc wielka w łęgu szczebiotliwych  
 Kaczek łakomych, łabędzi krzykliwych  
 W domu obfitość sadowi się wszędzie  
 Kurów po grzędzie.

Lecz też do stołu nie lada potrawy,  
 I gołębiniec rodzi nam dziurawy.  
 Polcie też w domu z niemalą pociechą  
 Wiszą pod strzechą.

Leśne bogactwa nieoszacowane  
 Hojnym Polakom od Boga są dane  
 A kto je sobie chce dobrze uważać  
 Może jch zażyć.

Po ziemi łanie i sarneczki żartkie,  
 Po drzewie ptastwo igra sobie wartkie;  
 Do barci niosą pracowite roje  
 Zdobycze swoje.

Ryb też dostatek prawie dobrej wody  
 Rodzą jeziora, stawy, rzeki, brody;  
 Owa Polakom na niczem nie schodzi  
 Wszystko się rodzi.

Chocia Bańskich miast nie mamy, nie o to  
 Samo do ręki przychodzi nam złoto;  
 Za chlebem idą Lachom nienowina  
 Pułkufki wina.

Przetoż już nie wiem czemuś wędzy tak chciwy  
 Polaku bracie mając takie niwy:  
 Czego wędzy szukasz w dalekim powiecie.  
 Na nowym świecie.

FADJAN SEBASTJAN KLONOWICZ.

## SROCZKA.

Broczka krzekce na płocie, będą goście nowi,  
 Broczka czasem omyli, czasem prawdę powi.  
 Gdzie gościom w domu rado, sroczce zawsze wierzą,  
 I nie kują się kwapić kucharzom z wieczerzą.

Broczko, umiesz ty mówić, powiedz gdzieś latała?  
 Z którejś strony goście jadące widziała?  
 Broczka krzekce na płocie, pannie się raduje  
 Serduszko, bo miłego przyjaciela czuje.

SZYMON SZYMONOWICZ BEŃDONSKI.  
 (Simonides.)

## ROXOLANKA.

(\*\*)

Mądrość jest nad mądrościami,  
 Widzieć śmiertelną za nami  
 Pogonią, która wyroki  
 Miecze na świat bez odwłoki.

Jako z pędem na dół wali  
 Wiatr skate, którą obali:  
 Tak się nasze przerywają  
 Lata kiedy koniec mają.

Jako z cięciwy wypada  
 Strzała, a wicher nią włada:  
 Tak nas, tak nasze nadzieje,  
 Śmierć wespół z prochem rozwieje.

A kto się rozbraci z światem,  
 Wszystkie jego sprawy zatem  
 W niepamięci ponurzone.  
 Ludziom nie będą wspomniane.

Właśnie jako kiedy morze,  
Okręt wielkim gwałtem porze:  
Skoro ujedzie, by znaku,  
Nie znać jego najmniej ślaku.

Marność jest nad marnościami  
Świat ten, z swojemi pompami:  
A przecie ludzi tak wiele,  
Każe nań hardzie i śmieie.

SZYMON ZIMOROWICZ.

## CNOTA SKARB PRAWDZIWY.

Nie zów bogatym tego Tyborynie,  
 Któremu strumień czystym złotem płynie,  
 I w same domu fortunnego progi  
 Hold niesie drogi.

Którego zdobią herbowne klejnoty,  
 Którego sława, zaprzągłszy wóz złoty,  
 Unosi imię, lecąc przez narody  
 I wielkie grody.

Próżno się nędznik z cudzych skarbów chwali,  
 Gdy sam nie nie wart: by wszystkie na szali  
 Włości położył z centnarami złota  
 Będzie gołota.

W głowie swój wielki, u innych wzgardzony,  
 Nie zna sam siebie; płonącym napuszony  
 Pochlebstwem gminu, dziwi się marnemu  
 Cieniowi swemu.

Porzuć dostatków świetnych blask nietrwaly,  
 I puste imię bez prawdziwej chwały;  
 Z samego siebie, jeżeliś cnotliwy,  
 Będziesz szczęśliwy.

SARBIEWSKI.

## SZCZYGIELEK.

(z Zwirydana czyli zbluru pieśni o Narodzeniu Chrystusa.)

Zbywszy próżnych myśli z głowy  
 Szedłem w gaj bliski lipowy.  
 Gdy tam rymy tworzę sobie  
 O twój matce i o tobie:  
 Ten szczygieł do mnie przyleciał,  
 Więc gdy mi na ramię wleciał:  
 Pocznie śpiewać; w tém do niego  
 Tak rzeknę śpiewającego:  
 — Czego chcesz ptaszku pisany  
 Płaszczuskiem pstrych piór odziany?  
 On tak powie: — Proszę panie,  
 Niech to mam zawsze śpiewanie:  
 Weź mnie, a zanieś do swego  
 Jezusa i matki jego.  
 Zanieś małego szczyglika  
 A oddaj mnie za muzyka.  
 Niechaj słucha obu najze  
 Lepiej nam tam, niż tu w gajze.  
 Sam do Jezusowej ręki  
 Będę latał, i przez dzięki  
 Pod stołeczkiem tej dziecinki  
 Będę zbierał odrobinki,

I pić z kieliszka jego  
Będę się ważył u niego.  
A nie chcę służyć inszemu  
Do méj śmierci tylko jemu.  
Choćby też w czém urażony  
Kazał mi lecieć w swe strony;  
Wolę go raczej przeprosić  
Niżli się indziej wynosić.  
A tak Jezu ptaszka tego  
Dajęć dziwnie powolnego.  
Gdy chcesz mieć za muzyka  
Gdy chcesz mieć za służebnika.

X. STANISŁAW GROCHOWSKI.



## ORACZ DO SKOWRONKA.

Już śpiewasz skowroneczku, już też i ja orzę,  
Obudwóch nas przy rannej pracy widzi zorzę;  
Bóg pomóż skowroneczku, dodawaj nadzieję!  
I dla ciebie ja razem i dla siebie sieję.

JAN GAWIŃSKI.

## WIOSNA.

O złoty wieku w postaci dziecinnéj,  
 Wiosno wesola! toć się wdzięcznie śmiejesz,  
 Wszystko uchodzi płochości niewinnéj,  
 Czy chłodem dmuchasz, czyli ciepłem grzejesz;  
 Wolność jak dziecku, dla swojej zabawki,  
 Dziś urodzone straszyc śniegiem trawki.

Przecież choć straszysz, nie uczynisz szkody,  
 Ni skrzeplém zimnem, ni przykrém gorącym;  
 Przyjemna pora, czas miły, czas młody,  
 Ma swą umowę z powietrzem i słońcem;  
 Wie, kiedy zagrzać; wie, kiedy ochłodzić;  
 Ma sposóib, starość orzeźwić, odmłodzić.

Ty okowaną i ściśnioną ziemię  
 Od tęgich mrozów uwalniasz z niewoli;  
 Jak córka matki kochająca plemię,  
 Kajdany zimne rozpuszczasz powoli,  
 Potém zaś tęższym ogniem gdy dosadzi,  
 Z lodowéj więzy więźnia wyprowadzi.

A po tyrańskiéj zimowéj opiece,  
 Pozwalasz ziemi odetchnąć swobodnie;

Ta otworzywszy ciepłych duchów piec,  
 Skościałe role rozwalnia wygodnie.  
 Im częstsze tchnienia z ust swych rozpościera,  
 Wszystko się rodzi, a nic nie umiera.

Choć się zasepisz, choć płaczem rozkwiliisz,  
 Nie przykro patrzeć na twoje grymasy,  
 Spragnioną matkę gdy łzami zasiliisz,  
 Ucieszysz pola, łąki, kwiaty, lasy:  
 Ty wszem żywiołom pożytek przynosisz,  
 Gdy perłowemi wody często rosisz.

Szczodra się możesz nazwać monarchinią,  
 Która wspaniałe barwy wszystkim dajesz,  
 Czego najwięksi mocarze nie czynią,  
 Chętna w dawaniu nie gardzisz, nie łajesz.  
 Ty wiesz, co komu i kiedy należy,  
 Nikt o zapłatę do ciebie nie bieży.

Zielone lasy w cieniach rozmaitych,  
 Z pięknych kolorów swe okrycia mają;  
 Insze na brzożach, insze w gajach skrytych,  
 Insze na drzewkach niskich się wydają,  
 Insze na buku, grabinie i sośnie,  
 Insze na dębie, który sto lat rośnie.

Inszą zieloność łąkom oznaczyła,  
 Jedwabne trawy dawszy im za płaszcze,

Ślicznemi kwiaty wdzięcznieś się upatrzyła,  
Z témi się Zefir bawiąc skrzydłem głaszcze;  
Te téż wzajemnie jak z dzieckiem igrają,  
Jedne się wznoszą, a drugie zniżają.

Dopieroż kwiatom, ziołom ogrodowym,  
O jak nadobne sprawiła odzieżę!  
Kaźde się szczyci, pyszni wdziękiem nowym,  
Kaźde kolory ukazuje świeże.  
A te gdy kształtnie skojarzy i sprzęgnie,  
Żaden kunszt tego zdziałać nie dosięgnie.

DRUŻBACKA.

## PACIERZ STARUSZKA.

Gończe złotego słońca, różana jutrzeńko!  
 Jużęsto w chatki mojej zajrzała okienko?  
 O jak ślicznie z twój twarzy promień bije czysty  
 Przez te młode gałązki leaszczyny krzewistój!  
 I ty, coś tu pod belką zlepiła gniazdeczko,  
 Nucąc sobie, świt biały witasz jaskółeczko?  
 Już i ranny skowronek wdzięczny głos wydaje,  
 Wzbiwszy się lekkim skrzydłem na powietrzne kraje.  
 Wszystko ze snu głuchego przyrodzenie wstawia;  
 Zwilżona chłodną rosą podniosła się trawa.  
 Każdy się kwiat rozwija, i kształt bierze żywy,  
 I mnie się zdaje, że mój włos odmłodził siwy.  
 Kiju mój! ty starości mój wierna podporo,  
 Prowadź mię, już bez ciebie w tym wieku niesporo.  
 Za tym sobie ogródkiem na wschód słońca siędę,  
 I łąkom się zielonym przypatrywać będę. —  
 Lasy, pagórki, pola nieścignione okiem,  
 O jak cudnym myśl błędną karmicie widokiem!  
 Którekolwiek mych uszu dolatują pienia,  
 Wszystkie są głosem szczęścia, głosem dziękczynienia;  
 Pastuszek na ugorze, ptaszek na galezi,  
 Opiewa słodką radość, co mu serce więzi.

Skaczą wesole trzody po wzgórkach zielonych,  
 Po dolinach czystými strugi przeplecionych;  
 Harcują tłuste capy, byk się zbija z bykiem.  
 Każdy huczne wesele okazując rykiem.

Długoż, ach! długoż jeszcze, Twórco mój łaskawy,  
 Patrzyć będę na dziwne boskiej ręki sprawy,  
 I świadkiem twój dobroci? Już dziewiąty schodzi  
 Krzyżyk wieku, jako się w śliczną postać młodzi  
 Po białej zimie wiosna; a gdy myśl skrzydlata,  
 Patrząc na czas upłynny, ściga zbiegłe lata,  
 I plac ów dwoma kresy otoczony mierzy,  
 Co się między mym grobem i kolebką szerzy;  
 Cała ta niezmiernona perspektywa okiem,  
 Dni jasnych, dni fortunnych upływa potokiem.  
 Ach jak serce me pała, wiekuiesty Boże!  
 Ta radość niewyczajna, którą ledwo może  
 Zająkliwy wyrazić język; te łez tonie,  
 Które hojnym strumieniem biegną po mém łonie;  
 Znam dobrze, jak są podle, jak słabe podzięki,  
 Za wszystkie dobrodziejstwa, którem wziął z twej ręki.  
 Płyńcie hojnym potokiem, płyńcie oczy moje.  
 Wytaczajcie obfite łez rześzystych zdroje.  
 Przeżyłem tyle latek, miło wspomnieć na to,  
 Że mi wszystkie tak zeszyły, jak roszkoszne lato.  
 Ile dni, tyle pociech; a lubo je która  
 Nagłego smutku czasem zasępiała chmura,  
 Byłyto owe tylko krótkie drzewo-łomy,

Co z gęstym deszczem straszne wysypawszy gromy,  
 Po małej chwili nikną, a swými przechody  
 W cudniejszy kształt obloką pola i ogrody.  
 Nigdy letniego słońca bystrými pożogi  
 Nie zmniejszyły się na mych gruntach plenne brogi;  
 Nigdy mróz tęgi rosłych szczepów mi nie skaził,  
 Nigdy przymorek dojnych krówek nie zaraził;  
 Nigdy srogiemi brzucha zmęczony przemory,  
 Nie wlaź wilk krwawożerca do mojej obory.  
 Ani mi kiedy tłustych baranów podławił.  
 Nigdy w mej chatce długo zły wróg nie zabawił.  
 Wszystko szło mi szczęśliwie, wszystko jako z płatka,  
 Była bogata chatka, poczciwa czeladka.

A któż jeszcze wyrazić radość owę zdola,  
 Gdy mię nadobne dziatki obsiadły dokoła;  
 Kiedym jedne prowadząc za drobnouchne ręce,  
 Uczył bezpiecznie stawiać stópkę niemowlęce;  
 Drugie skacząc na łonie z ucieśnym pośpiechem,  
 Bawily płochą mową i wdzięcznym uśmiechem?  
 Teraz gdy już pod twoją opieką urosły,  
 Twórco mój! i nieplonne owoce przyniosły;  
 Ciesząc się z trosk podjętych i z lożonej prace,  
 Czekam, póki śmierć w domek mój nie zakolace.

Tak właśnie rosły moje najmilsze pociechy,  
 Jako oto te gruszki, oto te orzechy,  
 Com je przed laty, by mi skwar letni nie wadził,

Około chatki mojej we dwa rzędy sadił.  
 Teraz gdy roztoczyły szerokie ramiony,  
 Mam z nich w jesieni owoc, mam w lecie zasłony.  
 Ty sama, ty trosk moich, ty żalów jedyną  
 Stałaś się, ukochana małżonko, przyczyną!  
 Tyś bieg radości trwałych, niestety, przerwała,  
 Gdyś mi z oczu w podziemne kraje uleciała.  
 Pomnę, ach! pomnę, kiedy przy ostatnim zgonie  
 Złożyłaś na pół martwą głowę na mém łonie;  
 Kiedym struchlałą ręką oczy twe zawierał,  
 I z tobą razem srogich frasunków umierał.  
 Jużto dwunasta wiosna mija od téj daty,  
 Jak twój grób łzami zlewam, i sypię nań kwiaty.  
 Lecz w krótkie dzień wesoly, dzień przyjdzie fortunny,  
 Co me kości położy obok twojej trunny:  
 A te serca, co w ślicznej wiek spędziły dobie,  
 I po śmierci spoczywać będą w jednym grobie.

NARUSZEWICZ.



## MARNOTRAWSTWO.

Znałeś dawniej Wojciecha? — ktoś nie znał! co teraz  
 Bez sług, ledwo w opończy brnie po błocie nieraz;  
 Niegdyś w karecie, z której dał się i umizgał,  
 Takich, jakim jest dzisiaj, roztracał i bryzgał:  
 Ustępowali z drogi wielmożnemu panu  
 Lepsi i urodzeniem i powagą stanu.  
 Nieraz ten, który przedtem od filuta stronił,  
 Westchnął skrycie natenczas, gdy mu się ukłonił;  
 Musiał czić: czegoż złoto nie potrafi dzielne?  
 Niedługo przecież trwały te czasy weselne;  
 Na złe wyszła wspaniałość. Przyjaciele kuchni,  
 Junacy heroiczni, wzdychacze miłuchni:  
 Filozofy nakoniec, jak pustki postrzegli,  
 Z maksymami, z wdziękami, z junactwem odbiegli.  
 Został się niedostatek, z nim wstyd dawniej pychy;  
 A co niegdyś wytrząsał kufle i kielichy,  
 Co szampańskiem, węgierskiem pysznie stoły krasił,  
 Wiadrem potem u studni pragnienie ugasił.  
 Jak to przyszło? — nieznacznie. Łakome są żądze,  
 Pełen jest świat oszustów, toczą się pieniądze:  
 Zyskał Wojciech szalbierstwem, stracił wszystko zby-  
 tkiem.

A niedługo się ciesząc niecnoty pożytkiem,

Nawet tego nie doznał, gdy nic nie dochował,  
 Żeby zdrację, bankruta, któżkolwiek żałował.  
 To gorsza, kiedy młody dziedzic wielkiej włości  
 Zysk zasług przodków swoich, cnoty, poczciwości,  
 Niszczy podły odrodek. Znałeś Konstantyna?  
 — Alboż widzieć odrodków u nas jest nowina?  
 Znałem go, ale w nędzy. — Jam znał w dobrym stanie:  
 Młodo zaczął wspaniale swoje panowanie,  
 Młodo skończył. Rodzice dzieckiem odumarli;  
 Opiekunowie naprzód, jak zazwyczaj, zdarli;  
 Dorwał się panicz rządów. Natychmiast do razu  
 Jedni z sławy, ci z zysku, a tanci z rozkazu,  
 Dworzanie, pokojowi, krewni, asystenci,  
 Przyjaciele, sąsiedzi i plenipotenci,  
 I ta wszystka niesyta stołowników zgraja,  
 Co się zyskiem obłudy karmi i opaja,  
 Natarli wstępny bójem. Rad pan wszystkim w domu.  
 Wrota jego nie były zamknięte nikomu:  
 Niech zna świat, jak pan możny, dzielny i bogaty.  
 Grzmią bębny na dziedzińcu, na wałach armaty;  
 Żaki prawią perory; ksiądz prefekt za niemi  
 Drukiem to wypróbował, że dzięły wielkiemi  
 Przeszedł pan przodków swoich, goźdzen krzesel, tronów,  
 Prawnuł Piastów po matce, z ojca Jagiellonów.  
 Wiwat pan! brzmią ogromném hasłem okolice,  
 Dymi z kuchni, jak z Etny; a sławne piwnice,  
 Co dziad, pradziad, szacownym napelniał likworem,  
 Pełne zgrai ochoczej stanęły otworem.

Wiwat pan! niech wiekuję szczęśliwy i zdrowy.  
 Objął sienie, przysionki, zapach dryakwowy:  
 Wala się, wadzi, wrzeszczy rozpojona tłuszcza.  
 Pan rad, w domu każdego do siebie przypuszcza.  
 Ten wziął konia z siedzeniem; tamten za przysługę  
 Nieboszczyka pradziada z lamusu czeczugę;  
 Ów wlecze złoty dywan, co w skarbcu spoczywał,  
 Dywan, co stół naddziada ministra okrywał,  
 Gdy w usłudze publicznej pracował lub sądził.  
 Śmieją się z starych gratów; a jakby pobłądził,  
 Wyszydają wiek dawny, nowy rzesza chwali.  
 Liczne przodków portrety wyrzucono z sali.  
 Natychmiast, że zbyt wielka, ścieśniają gmach stary:  
 Cztery z niéj gabinety i dwa buduary.  
 Że we nich starego dzieje testamentu,  
 Nie cierpiano szpalerów jednego momentu:  
 Wziął je sąsiad za wyżła, a za dwie papugi  
 Zyskał zbroję zocistą w zamian sąsiad drugi.

Od czasów nieboszczyka jeszcze Jegomości  
 Płaczą w kącie z szafarzem stary podstarości;  
 Pan kontent. Skoro w rannéj porze słońce błyśnie,  
 Już się przez przedpokoje ledwo kto przecisnie:  
 Ten ustawia pagody chińskie na kominie,  
 Ten perskie girydony, ów japońskie skrzynie;  
 Pełno muszli zamorskich, afrykańskich ptaków,  
 Wrzeszczą w klatkach papugi, krzyk szczygłów, świst  
 szpaków;

Bije zegar kuranty, a misterne flety  
 Co kwadrans, co godzina, dudlą menuety,  
 Wchodzi pan, pasie oczy nowemi widoki,  
 Zewsząd gładkie pochlebstwa i ukłon głęboki;  
 Znają się na wielkości i pan na niej zna się.  
 A chociaż do mówienia z gminem unia się,  
 Zna czém jest. Wszyscy wiwat! skoro tylko kichnie,  
 Na kogo okiem rzuci, każdy się uśmiechnie,  
 Kontent z pańskich faworów. W tem nowe kredense,  
 Dwa mniemane Wandyki i cztery Rubense  
 Niosą w pakach hajduki: wyjmują, gmin cały  
 Złoto ważne uwielbia, czi oryginały.  
 A pan wszystkich naucza, jak Rubens w marmurze  
 Jeszcze lepiej rznął twarze; a w architekturze,  
 Co to wszystkich patrzących dziwi i przenika,  
 Nie było celniejszego mistrza nad Wandyka.  
 To to pan! krzyczy zgraja, to wiadomość rzeczy!  
 Wtém, gdy wszyscy w aplauzach, a żaden nie przeczy,  
 W pośród ciżby wielbiącej rejestrzyk podaje  
 Snycerz, malarz, tapiser, których cudze kraje  
 Na to do nas zesłaly, aby według stanu  
 Dogadzali wytwornie wspaniałemu panu.  
 Nie czytał pan rejestrów. Kto rejestra czyta?  
 Podpisał; niech zna Niemiec, jak Polaka obsita.  
 Tak ów, co po jałmużnę niegdyś do Włoch spieszył,  
 Złoto rzucal, nic nie wziął, a dumą rozśmierzyl.

Lecą dnie w towarzystwie dobranych współbraci;  
 A że wojaż nowemi talenty zbogaci,

Jadą do cudzych krajów. Z projektu kontenci  
 Wyślani na kontrakty już plenipotenci;  
 Ten sprzedaje w pół darmo, a wdzięczen ochocie  
 Dał ulomek kradzieży kupiec w dożywocie;  
 Ten zastawia za bezcen, ów fałszuje akty!  
 Takto robią szczęśliwych zyskowne kontrakty!  
 Wraca się przecież cząstka do tego co zdarli:  
 Wdzięczen, że go w potrzebie nieuchronnej wsparli,  
 Wyjeżdża, niesie haracz niszczącej nas modzie;  
 A wexel lichwą płatny mając na powodzie;  
 Dziwi kraje sąsiedzkie nierozumnym zbytkiem.  
 I z tym swojej podróży powraca użytkiem,  
 Że co panem wyjechał przystojnym i godnym,  
 Wraca grzecznym filutem i żebrakiem modnym.  
 Nie ganię ja podróży, ale niech nie niszczą.  
 Co po gościu? dłużnicy gdy płaczą i piszczą;  
 Co po fantach? za które porzły wsie dziedziczne.  
 Bogacimy ubodzy kraje okoliczne;  
 A zbytek, co się tylko czczym pozorem chlubił,  
 Okrasił nas powierzchownie, a w istocie zgubił.

KRASICKI ION.

## PTASZKI W KLATCE.

Czegoż płaczesz? staremu mówił czyżyk młody,  
Masz teraz lepsze w klatce niż w polu wygody.  
Tyś w niej zrodzon, rzekł stary, przeto ci wybaczę;  
Jam był wolny, dziś w klatce, i dla tego płaczę.

KRASICKI IGN.

---

## WILK I OWCE.

Choć przykro, trzeba cierpieć, choć boli wybaczyć,  
Skoro tylko kto umie rzecz dobrze tłumaczyć.

Wszedł wilk w traktat z owcami: o co? o ich  
skórę;

Szło o rzecz. Widząc owce dobrą konjunkturę,

Tak go dobrze ujęły, tak go opisały,

Iż się już odtąd więcej o siebie nie bały.

W kilka dni ten, co owczej skóry zawždy pragnie,

Widocznie wśród południa, zjadł na polu jagnię.

Wskazywał w krzyk: ... a wilk na to: pocóż narzekacie?

Wszak niemasz o jagniętach i wzmianki w traktacie.

Ułuszył potem owce: krzyk na wilka znowu;

Wilki rzecze: ona sama przyszła do połowu.

Niezabawem krzyk znowu i skargi na wilka:

Wprzód jednę, teraz razem zabił owiec kilka.

Drudzy rwali, wilk rzecze, jam tylko pomagał.

I tak, kiedy się coraz większy hałas wzmagał,

Czyli szedł wstępny bojem, czy się cicho skradał.

Zawždy się wytłumaczył..... a owce pozjadał.

KRASICKI ION.

## KULAWY I ŚLEPY.

Niósł ślepy kulawego, dobrze im się działo;  
 Ale że to ślepemu nieznośno się zdało,  
 Iż musiał zawsze słuchać co kulawy prawi,  
 Wziął kij w rękę: ten, rzecz, z szwanku nas wybawi;  
 Idą; a w tém kulawy krzyknie: umknij w lewo!  
 Ślepy wprost: i choć z kijem, uderzył łbem w drzewo.  
 Idą dalej; kulawy przestrzega od wody:  
 Ślepy w bród: sakwy zmaczał, nie wyszli bez szkody.  
 Nakoniec przestrzeżony, gdy nie mijał dołu,  
 I ślepy i kulawy zginęli pospołu.

I ten winien, co kijem bezpieczeństwo mierzył,  
 I ten, co bezpieczeństwo głupiemu powierzył.

KRASICKI ION.



## ZOFIJÓWKA.

Tak na świecie najwyższej mądrości układem.  
 Nie przypadkiem, porządnym wszystko idzie ładem:  
 I zawsze skutki przyczyn, czy więkaze, czy drobne,  
 Jednakich są jednakie, podobnych podobne.  
 Potrójnym kula ziemską władana obrotem  
 W koło swęj własnej osi szybkim chodzi lotem,  
 Powolniejszym corocznie w stare wchodzi mety,  
 W koło światłem i ciepłem darzącej planety:  
 Najleniwszym z północy ku południu krąży,  
 I z tamąd ku Tryonom tymże biegiem dąży.  
 Pierwszy ruch dni oddaje, drugi wraca lata,  
 Ziemskiego niesie trzeci odmłodnienie świata.  
 Gdy więc dziś będziesz kresów dzisiejszych dochodzić,  
 Ciż sami znowu wtedy będziemy się rodzić.  
 Taż wilgoć nas napoi, też nakarmią strawy,  
 Też same przyjacioly, też będą zabawy;  
 Wszystkie jestestw żyjących i nieżywych stany  
 Bez żadnej dawne losy odzyszczą odmiany.  
 Uczeni takim czasy kołujące tokiem  
 Wielkim zwą peryodem, Filozofów rokiem.  
 Umieją oni zliczyć lata, dni, godziny,  
 Gdy się też same skutki, też wrócą przyczyny.  
 Biorąc miarę powrotów z wieczności obrazów,  
 Byliśmy, czeni jesteśmy, miliony razów,

I póki potrwa ziemia, póki starczy słońca,  
 Życ, gasnąć, odradzać się będziemy bez końca.  
 Gmin wiedzieć nie jest winien, że z natury daru,  
 Te są wiecznego chody niezmiennie zegaru.  
 A że nawet i mędrsi mają swo przesady,  
 Z roztrząsań wczął się hałas podobny do zwady:  
 Jeden w to mocno wierzył, drugi brał za żarty,  
 Wszystko przecząc, powagą starych pisań wsparty.  
 Ja obu z zadumieniem słuchałem prostaczem,  
 I stanęło nakoniec... przepomniałem na czym.  
 To tylko mam przytomne, że stygnąc pomалу  
 Od twierdzeń nadto górnych, zeszedł do morala  
 Młodszy mówił, a starszy z odpowiedzią czeka.

Roskosz być sadzę dobrem najwyższem człowieka:  
 Lecz to za istną roskosz wzięłby chyba tępy,  
 Co koniecznie szkodzące pociąga następny.  
 Mało cełny, co umysł na chwilę weseli,  
 Mignie tylko i ginie, jak płomień z kądzieli.  
 Nieuważnych żądania krótko słodycz nieci;  
 Są łakotki dla małych, są dla starych dzieci.  
 Owszem niech ta ostrożność czujną baczność zwraca,  
 Czy naszych sił nie wątl? czy życia nie skraca?  
 Cukier jest wprawdzie słodki, temu jednak biada,  
 Kto często lub nad miarę cukrem się objada.  
 Przez wyczyszczony rozum i cnotliwe życie  
 Zyskuje się prawdziwej roskoszy nabycie.  
 Ta jest ostatnim celem, ta naszą nagrodą;

Do niej tante dwa  rodki nieochybnie wiada;  
 Zlego nic, a dobrego nadzialawazy wiele,  
 Stajemy si  nas samych wnetrzoj przyjaciele,  
 Szacunek tak zjednany nigdy w nas nie ginie;  
 Nieprzerwan j pociechy ztad uczucie plynie.  
 Czemby si  czlowiek prawy mial kiedy zasmucic,  
 Gdy mu nic serca skryto c nie zdoła zarzucic.  
 Ma on nami tno ciami nieskażone skronie.  
 Nie blednie winy trwoga, ani wetydem plonie.  
 A jezli zdarze  slepych dokucz  mu wady,  
 Bezr znic je przyjmuje, jak wichry i grady.  
 Dopelnia obowi zki w rado nym sposobie,  
 Ktore winien i drugim i samemu sobie.  
 Bo my l i ciało buda c umieszczone  ciało,  
 Od ich zdrowia zwi kszenie rozkoszy zawisło.  
 A gdy dobrze strawionym obci żony wiekiem  
 Pozna,  e ju  przychodzi przesta c by  czlowiekiem;  
 Tak si  spokojnie zloży, z przodkami pospołu,  
 Jak gdy po walnej uczcie wstawalby od stolu.

TREMBECKI.

**MATKA OBYWATELKA.**

Śpij, moje złoto! śpiewała,  
 Kołysząc matka swe dziecko;  
 Śpij, moja nadziejo cała,  
 Moje ty życie.

Usnęło! — słabe nieboże,  
 Dosyć się, dosyć spłakato;  
 Po płaczu lepiej też może  
 Będzie mi spało.

Dziecię! o wieleż to biedy  
 Matczyna znieść musi głowa:  
 Nim się pociecha jej kiedy  
 Z ciebie wychowa!

Wieleż ja z czasem odbiorę  
 Miłej mi za to wdzięczności;  
 Gdy z ciebie uznam podporę  
 Mojej starości

Gdy się kraj cały zdumiewać  
 Nad każdym twej cnoty czynem,  
 A sława będzie mi śpiewać,  
 Żeś moim synem!

Któż wie, co jeszcze być może?  
 Ach! sztylet serce przenika . . .  
 Poczwarą jakąś, o Boże?  
 Stanie mi dzika.

Może to nikczemnik jaki,  
 Co ma swe imię znieważyć!  
 Lub na postępек wszelaki  
 Niecnoty zażyć?

Wstydu on mego przyczyna,  
 A może i śmierci jeszcze,  
 Gdy ujrzę niewdzięcznym syna,  
 Którego pieszczę?

Ojczyzny zdrajca i zbrodzień,  
 Może krew braci rozleje? . . .  
 Ach serca mego niegodzien:  
 Cała truchleję!

Tażby nagroda, i ta mi  
 Pocięcha z ciebie być miała? . . .  
 Rzekła; i oczy swe łzami  
 Gorzko załala.

KNIAŻNIK.

## DO OBYWATELA.

Tę boską lutnię ilekroć mam w ręku,  
 Cnocie bold oddać moim zawsze celem.  
 Jakże mi słodko czystego jój wdzięku  
 Przed tobą użyć, przed Obywatelem?

Któż obywatel? ten co swemi trudy  
 Wspiera los braci, choć przeciwność bije.  
 Któremu wdzięczni rzekną bez obludy:  
 „Niech żyje wiecznie, bo dla nas on żyje!”

Który jak drzewo wśród burzy otuli  
 Skupioną trzodę swych liści ramieniem;  
 Biegną śpiewając tam pasterze czuli:  
 Cieszymy się pod tym dobroczynnym cieniem!

Tak, kiedy Polak śmierć zyskiem poczytał,  
 I chlubę z placu przynosił na czele,  
 Orszak płci lubej z działkami go witał:  
 „To nasi zbawce! to obywatele!”

Nie złotem wtedy, ale szło żelazem.  
 Gdy miłość kraju ruszyła pałazę,  
 Odgłos był jeden: trzymajmy się razem,  
 Bo idzie o nas, bo w tém dobro nasze!

Jak złoty kruszec zakradł się do rady,  
 Spojrzała chciwość na własny użytek;  
 Krok się ośmielił uczynić do zdrady,  
 Pchnęła się duma, a popędził zbytek.

Żądzon podłości raz popuścić liców,  
 Stęka kraj nędzny, upadają miasta;  
 Widać chwast lichy, co z żalem dziedziców  
 Na gruzach wielkiej budowy porasta.

Daremnie cnota, tór podając chwały,  
 Roznieci światło i ogniem zapali.  
 Potrzeźnie głową ród zapamiętały:  
 „Niech ginie wszystko, byleby my cali!”

Za nie im przykład i ów zapal święty,  
 Co swoją widzi nadgrodeń wśród nieba,  
 Gdzie ziarna sypią, gdzie na lepie nety,  
 Ślepa na zgubę pędzi ich potrzeba.

Tak orzeł w górę bystry lot pospiesza,  
 Kiedy słoneczna twarz jemu zaświeci;  
 Zdziwi się ptastwa poziomego rzesza,  
 Ale nikt za nim ku słońcu nie leci.

KNIAZŃIN.

## FILOZOF.

Czy mam złoto, czy bez złota,  
Zawszem zdrowy i wesoly;  
Pocziwego zdołi cnota,  
Ani mu wstydl, kiedy goły.

Gdy mi dobrze idą rzeczy,  
Fortunie bardzo dziękuję;  
Gdy mi swoich względów przeczy,  
Wcale się tém nie turbuję.

Żeby mnie niewiem jak srogim  
Ciosem fortuna ścisłała,  
Nie zrobi mnie tak ubogim,  
By mni cnota nie została,

Nie wielkich mi skarbów trzeba,  
Na moje drobne expensa,  
Żyję bez białego chleba,  
I bez kosztownego mięsa.

Nie mnie trzeba kosztu na to,  
Żebym coś na świecie znaczył,  
Ani się stroję bogato,  
By mnie ktoś przywitać raczył.



Nie zabieram spółki z tymi,  
 Których przyjaźń ma kosztować  
 Bo nie chcę pieniędzmi mémi  
 Przyjaciół sobie kupować.

Przyjaźń, co odbiega w nędzy,  
 Co się nie jedna z przymioty,  
 Co jest tylko dla pieniędzy,  
 Traci u innie imię cnoty.

Tak więc żyjąc w własnym domu,  
 Mam się za dość bogatego,  
 Kiedym nie winien nikomu,  
 Kontent jestem z losu mego.

WĘGIERSKI.

## DUMA LUIDGARDY.

Powiećcie wiatry od wschodu!  
 Z wami do mojego rodu  
 Poślę skargę obciążoną  
 Miłością moją skrzywdzoną.  
 Smutna matka w dłoń uderzy,  
 Nieszczęściu zaraz uwierzy,  
 Przyszłe mi braty obrońce,  
 I łuków Syrbskich tysiące.  
 Powiećcie wiatry od wschodu!  
 Z wami do mojego rodu  
 Poślę skargę obciążoną  
 Miłością moją skrzywdzoną.

Ale stójcie, Syrby mężne!  
 Hamujcie razy potężne!  
 Choć mię Przemysław chce zgubić,  
 Ja go jeszcze wolę lubić.  
 Ja się tylko żalę na to,  
 Że moje upływa lato,  
 Że mię mej młodości zbawił;  
 Onby się może poprawił.  
 Powiećcie wiatry od wschodu!  
 Z wami do mojego rodu  
 Poślę skargę obciążoną  
 Miłością moją skrzywdzoną.

Szczęśliwsza wiejska dziewico  
 Której miłość tajemnicą,  
 Nie zna jeszcze serca pana;  
 I ty, co kochasz kochana.  
 Ja króla mężnego żona,  
 Kochając go, pogardzona,  
 Gdy mi dojmie rozpacz sroga,  
 Bluźniąc, klnę siebie i Boga  
 Powieście wiatry od wschodu!  
 Z wami do mojego rodu  
 Poślę skargę obciążoną  
 Miłością moją skrzywdzoną.

Czego błyszczysz, złoto marne,  
 Wszystko w oczach moich czarne!  
 Ten lud przedemną schylony,  
 I te Przemysława trony.  
 Obejrzyj się, mężu twardy! . . . .  
 Jeden uśmiech . . . a mniej wzdardy . . . .  
 Wróci szczęściu postać własną,  
 Da wszystkiemu barwę jasną.  
 Powieście wiatry od wschodu!  
 Z wami do mojego rodu  
 Poślę skargę obciążoną  
 Miłością moją skrzywdzoną.

Ale on nieubłagany? . . . .  
 Pójdę do matki kochanej,

Pójdę choć w jednej koszuli:  
 Ona mię w smutku utuli.  
 Przechodząc lasów tajniki,  
 Może litościwy dziki  
 Zwierz mi życia nie uszkodzi,  
 Na które stogi mąś godzi.  
 Powieście wiatry od wschodu!  
 Z wami do mojego rodu  
 Poślę skargę obciążoną  
 Miłością moją skrzywdzoną.

Gdzież mię ślepa miłość niesie?

Ona mię zbłąka po lesie,  
 Fałszywe ścieszki poradzi,  
 I tu mię nazad wprowadzi;  
 Żebym zgon mój nieszczęśliwy  
 Widziała, jak popędliwy  
 Uderzy hartowną strzałą  
 W serce, które go kochało.  
 Powieście wiatry od wschodu!  
 Z wami do mojego rodu  
 Poślę skargę obciążoną  
 Miłością moją skrzywdzoną.

KARPIŃSKI.

## POWRÓT Z WARSZAWY NA WIEŚ

Otóż mój dom ubogi! też lepione ściany,  
 Też okna różnoszybne, piec niepolewany,  
 I niska strzecha moja! Wszystko tak jak było,  
 Tylko się ku starości więcej pochyliło.  
 Szczęśliwy! kto na małym udziale przebywa,  
 Spokojny siadł przy stole wiejskiego warzywa.  
 Z swój obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,  
 Z domu napój i wierną przy boku drużynę.  
 Obyr ja był tak dawniej myślał oszukany!  
 I w ukrytym gdzie kącio żył raczej nieznanym;  
 Gdyby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano.  
 I tylko mnie sąsiadem dobrym nazywano!  
 Bym się żywił krwawego rąk moich wyrobku,  
 Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku

Com zyskał, że rzuciwszy ubogie zagrody,  
 Chciałem nicopatrzonej płynąć przeciw wody?  
 I widząc na me oczy, jak drudzy tonęli,  
 Jam sobie myślał: oni płynąć nie umieli.

Com zyskał, na wysokie pańskie pnać się progi!  
 Gdzie po ślizkich ich stopniach obrażając nogi,  
 Nic się z moim lepszemu nie zrobiło stanem,  
 Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem.

Kiedy mnie ojciec stary żegnał przy mym zgonie;  
 Idź, mówił, synu na świat; w jakiej będziesz stronie,  
 Pamiętaj, iż na prawdzie nikt nigdy nie traci;  
 Zostawiam cię ubogim, prawda cię zbogaci.  
 Słuchałem cię, ojcze mój, goszcząc między pany,  
 Takem myślał lub mówił, jak był przekonany;  
 Nie brałem sobie za cel ludzkie głosić winy,  
 A jeślim kogo chwalił, nigdy bez przyczyny.  
 Cóżem zyskał pochlebstwem, nie służąc nikomu?  
 Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.  
 Nie przeto święta cnoto opuścić cię trzeba,  
 Że wieku dzisiejszego nic nie dajesz chleba:  
 Choćby mi jeszcze wolniej miało szczęście pociec,  
 Bo i z prawdą jest pięknie, i tak kazał ojciec.

Trzeba wyznać jak było, że mi coś dawano,  
 Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,  
 Żebym wieczny niewolnik znosił jarzmo czyje,  
 Żył cały komuś, a sam zapomniał, że żyję;  
 A wreszcie mi nadzieją szafowano szczerze;  
 Nikomum źle nie zrobił, ani mnie nikt dobrze.  
 Nadziejo! czyż ja ciebie w złotój chciał mieć szacie,  
 Żeby oczy spóółstwo obracało na cię?  
 Żebym sływał majątkiem, drugimi pomiatał?  
 Nie o tom ja przed drzwiami fortuny kolatał:  
 Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,  
 Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał niegłodu;  
 Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu,

Swym plugiem zoranego pilnował zagonu;  
 Spokojny będąc na tém, co stan mierny niesie,  
 Stałbym sobie na dole, niech kto inny pnie się.

W tym zamiarze praca mnie całe życie tłoczy,  
 Nad książkami straciłem i zdrowie i oczy;  
 Nad książkami, które ja, co gębie odjąłem,  
 Może zbytęcznym na mnie nakładem ściągnąłem  
 Cóż mi książki oddały? jak niewierna niwa,  
 Co zgubiła nadzieję rólnikowi żniwa.  
 Po wieku mego wiosny niewróconej szkodie,  
 Nachylony ku ziemi zostałem o głodzie.

Za lat Szymoniczów albo Kochanowakich,  
 Może znalazłbym sobie Zamojakich, Myszkowskich,  
 Przy którychbym wygodnie wieku mego użył,  
 I pismem pożyteczném narodowi służył.  
 Dziś zabierz mi kto księgi, ten sprzęt nieszczęśliwy,  
 Do których mi przywiązał nałóg uporczywy;  
 I co mi będzie lepiej w ubóstwie usługne,  
 Zamieniaj na motyki i żelaza pluzne.  
 Porzucę nad pismami myśli kłopotliwe  
 A serce niech mi tylko zostanie dotkliwe,  
 Żebym się mógł nad losem biedniejszych litować,  
 I przy pracy miał sposób bliźniego ratować.

Maryo, siostró moja! jakieś się kwapiła!  
 Prawieś wraz z mym powrotem i ty tu przybyła!

Czegóż stojąc w tym kącie z twarzą wyniszczoną,  
Otoczona dziatkami nieszczęśliwa żona,  
Poglądasz mi na ręce, rychło jakim datkiem  
Wesprę cię już goniącą majątku ostatkiem.  
Nędza was jak popadła, tak statecznie gniecie!  
I tyś także, jak widzę, prawdą szła na świecie.  
Oplakana rodzinno! wy myślicie ślepi:  
On był między panami, i nam będzie lepiej.  
Byłem, i byłbym pewnie panom na coś zdalny,  
To wiem, a tego nie wiem, zacom niepopłatny.  
Stało się! nie mam swojej, kopmy cudzą grzędę,  
Podeprzeć tę lepiankę, jeszcze w niej przebędę

KARPIŃSKI.



## HYMN DO BOGA.

Nieogarniony światem, ojców naszych Boże!  
 Ty! który jeden, nie znasz płochej wieków zmiany;  
 Otośmy twych oltarzów oblegli podnoże,  
 Niedyś Ind Tobie miły, a teraz znękany!  
     Więc gdy za sobą przemówić nie śmiemy  
     Pozwól, niech dawne łaski twe wspomniemy.

Już lat tysiąc niewrótnęj swęj dobiega drogi,  
 Jakosię pobracileś z ojcaui naszemi  
 A wyrwawszy im z ręku ciosane ich bogi,  
 Świętym prawdy obliczem błysnąłeś tej ziemi  
     I daleś poznać wśród błędu zamieci,  
     Żeś Ty ich ojcem, a oni tve dzieci.

Te same świątyń szczątki mchem porosłe siwym,  
 Patrzyły na tve z ojcy naszemi przymierze;  
 Jak oni cię uznawszy być Bogiem prawdziwym,  
 Mieli Ci wiernie służyć w niepośliznej wierze:  
     A Ty nawzajem przyrzekłeś laskawie  
     Im przewodniczyć w wielkości i sławie.

Jeszcze tych świętych umów nie oschły znamiona  
 Kiedy nad dziady nasze, cechą téj ugody  
 Wynurzeni z błędnego rozsypanców łona  
 Poczesne wzięli miejace pomiędzy narody,  
     A ci, co nimi dumnie pogardzali,  
     Ich pokrowieństwo i łaski szukali.

Ty sam, Boże zastępów! miecz nieukrócony  
 Przypasałeś twą ręką do ich twardych boków,  
 A ledwie nim błysnęli na okaz obrony  
 Objawionych stworzeniu twych świętych wyroków.  
     Ucichły szepty i zmowy sąsiadów  
     Ujrzawszy Ciebie w pośród naszych dziadów.

Tyś im przywdział niełoinne zbroje i przyłbice;  
 Bądź gdy od krynic Laby do Panapra brzegów  
 Pierwotnej swéj siedziby kowali granice;  
 Bądź kiedy wśród okrytych laurami szeregów  
     Królów i Książów spory rozsądzali,  
     I onym trony ojczysto wracali.

Tyś ich ziemię, jak niegdy Jordanu krainę  
 Napoił błogosławieństw i mlekiem i miodem;  
 I zwierząt życiosłużnych nagnał w nią drużynę  
 I uczynił wszech tworów nieprzerodnym płodem;  
     Że się sąsiadom onic nie kłaniała  
     Lecz ich sytością swoją nakarmiła.

Tyś ją sam niemylnemi oznaczył kopcami  
 Od upalów granitem Krepakiem zagrodził;  
 Ramiona przeciw wichrom umiał lasami  
 I gościńcem rzek splawnych dwa morza pogodził;  
     A przy podwojach wschodu i zachodu  
     Do ślachtetnego wytknął plac zawodu.

Tędy nasi ojcowie po wieńce biegali  
 Tędy wlekli zwyciężkich łupami rydwany;  
 A tyś na ich błyskotnej strach rozsewał stali:  
 Że gdzie tylko zmierzyli oręż niewstrzymany,  
     Placu nie widząc, zbrojne ómy pierzchały,  
     Schnęły strumienie i góry tajały.

Próżno nas sroga zawiść ludzkich łez lakonia  
 Z jednogniezdne mi bracią na północy kluci  
 Zewnątrz ścisła najazdem, nieci ogień doma;  
 I uspionych Lapońców z twardego snu cuci,  
     Spędza wiatrami Tatarskie zagony  
     Sługom na pany wraża miecz stępiony.

Powieleż razy, Panie! ta ziemia spluskana  
 Milionowe hordy chlebem swym żywiła!

A kośćmi i rynsztunkiem zbojeckim zasiana  
 Wrogów naszych zawodną nadzieją cieszyła:  
 Że w oceanie nieszczęść swych zatonie  
 Głowy niewzniesie, ani świtem wionie.

Ty się za nas ująłeś, Zbawco uciśnionych!  
 A ledwieś ojców naszych natchnął zgody duchem,  
 Wnet cała ta szarańcza napastników onych,  
 Jako piasek nadmorski, wionęła rozdmuchem;  
 Strach im roztrącał karki wielko oki,  
 I cień ich własny pochwycał za boki.

Przed jednym tysiąc zbrojnych uciekało razem,  
 Ni się wdziesięć tysięcy obejrzeć nie śmieli;  
 A ojce nasi chlubni twej łaski okazem,  
 Pod obłogi szerokie imie rozciągnęli  
 Zamorców w własnem potopili morzu,  
 I miecz zatknęli na niedzwiedziem zorzu,

Nie mniejsze twoje dziwy, nasz obrońco możny!  
 Kiedy z pustyń Arabskich Izmaela plemie  
 Posuwając orężem swój księżyc dwurożny,  
 Tysiąca państw kwitnące przywalało ziemie:  
 A depcąc carstwa wschodniego ruiny,  
 Przytknęło sztandar do naszej krainy.

Jęknęły prawowierców twoich świetne grody,  
 Słońce kurzem zaćmiły różnobarwców tłumy;

A przewodca ich ufny w orężne narody  
 Na karkach ujarzmionych wlokąc namiot dumy,  
     Rozdęty pychą, wzniosły nad Libany  
     Dla reszty świata związywał kajdany

Tys garstkę ojców naszych przeciw niemu stawil,  
 Ledwie mu w twarz zajrzeli niezmrużonem okiem,  
 On się samym postrachem ich lica zadławił;  
 I jako drugi Bagon (1) przed bóstwa widokiem  
     Padł zgruchotany, krwią popoił rzeki,  
     Jęknął w pustyniach, i przestraszył wieki!

Wielkie twe dzieła, Panie! dla naszego rodu  
 Przegadać ich nie mogli nasi pradziadowie  
 Przestrzeń ta szerokiego nader jest obwodu —  
 Każdy dzień, każdy zakąt łaski twe opowie  
     Któreś po całym rozsiewał ich domu.

Tys im sam dziewosłębil szczęsne zrękowiny,  
 I serca nitem harcił, w nierozjemnem życiu  
 Że się ojcom podobne rozwnuczały syny,  
 Jeszcze te niemowlęta kwiliły w powiciu,  
     A już wodzowie owi strachem drzeli,  
     Którzy z ich ręku pęta przyjąć mieli.

(1) Balaan Filiatynów, który przy Aro zgruchotany został.

Tyś im sam gospodarzył w polu i oborach:  
 Że Tobie i ojczyźnie niosąc hojne dary  
 I żywiąc chudszej braci tysiące na dworach  
 Nigdy zamożnych szkatuł nie przebrali miary.  
 Żeniąc ład dobry z wdziękami azzodroty  
 Pod rachmistrzostwem rozumu i cnoty.

A jako twojem żyli natchnieniem i duchem,  
 Tak przyrodna dostojność, wielkość i szlachetność  
 Kierowała ich czynow niepomylnym ruchem;  
 A błyszcząca na twarzach Bóstwa twego świetność  
 Wkładał im kroku i skinieniu ciała  
 Poszanowanie i miłość wrazała.

Jakiż dziw, że przed nimi ludowie klękali;  
 Sąsiedcy jednowładzce, Kniazie i Królowie  
 Ich rady, pokrewieństwa, przyjaźni szukali  
 Nędzni biegli po wsparcie, po rozum mędrctwie.  
 Wtedyś ty Boże! był polaków Bogiem  
 Ani im sąsiad śmiał być chytrym wrogiem.

Cóż się wždy podziało z późném ich plemieniem?  
 Tyś twarz odwrócił . . . a my! . . . wproch się rozsypali!  
 Szczątki jego wiatr rozniósł z pyłem i z imieniem.  
 Morza nimi igrają po zaświatnej fali,  
 Ciskując z gniewem na Murzyńskie piaski,  
 Ciała zakrzepłe piętnem twój nielaski.

Druzdy przeżyć niemogąc zgonu wspólnej matki  
 Spostrzegły jakąś gwiazdę nowych świata cudów  
 I znią tajemnym przecuciem, łącząc tehu ostatki  
 W bezdrożach skwarnych spiekot, włoczegów i trudów,  
     Łądy i morza obieżawęzy sławą  
     Łzy krokodylom wmawiają swą sprawą.

Starcy wdomach ujęci jęczą na podaieniu;  
 Wory im wyplakane źrenice zakryły;  
 A sędziwe prababki w rzewnem rozczuleniu  
 Łamiąc ręce, że matkę matek swych przeżyły.  
     Połogi nędznych córek przeklinają  
     W których rozrodka wnuków swych nie znają.

Rozszlochane dziewice warkocze stargały,  
 Ani więcęj witają słodkiem wdziękiem pieni  
 Wracających rycerzów z bojowiska chwały;  
 Młodzieńce nasi ludom przewodzić zrodzeni,  
     Podparłszy belki pradziadowską bronią,  
     Nad ich czynami łzy bezczynne ronią.

Gościńce sławy naszej chwastami zarosły,  
 Rozwalinom Syonu pokrzywy panują,  
 Po wieżach głos pogrobny puszczyki rozniosły,  
 A smętne cienia ojców po kątach się snują,  
     Wskazując zwłoków swych ulonki świetne  
     Powyrzucane na śmiecia wynietne.

Sami siebie nie znamy, a gdzie stąpim krokiem  
 Poziwa trup ojczyzny poroką spluskany:  
 Wezystko drażni, rozdziera nieznanym widokiem  
 I sen nawet spoczynku broniąc niezblagany  
     Szarpie szydersko, i serca i czucie  
     Marzeniem wzrosłem i znikłem w minucie.

Odkupując chleb, wodę i sól, zgruntów własnych,  
 Po naszych się ulicach rozmówić nie mogę;  
 Wkrótce, miasto żużlantów, i blawatów jasnych  
 Kusy kubrak z pakłaku na grzbiet chudy włożem.  
     A miasto świetnych przepasek i wieńców,  
     Zgrzebnny powrózek z łyczków i rzemieńców.

Pamięć naszą uczciwą, głośną w poprzek świata,  
 Jak skorupą garncarską o kamicę stłuczoną,  
 Pogwizdując wędrowiec depce i pomiata,  
 A patrząc na bram naszych postać okopconą  
     Potrzęsa głową i pyta zdumiany:  
     „I gdzież ich teraz ów Bóg zawołany?”

Ty żyjesz i żyć będziesz chociaż świat upadnie!  
 Tyś policzył do włoska na tych głowach włosy;  
 Nie traf ślepy, nie kolej narodami władnie  
 W twoich się rękę rodzą i czasy i losy;  
     Więc gdy niemożesz karać bez przyczyny,  
     Los nasz być musi płodem własnej winy.



Lzy nasze są świadkami błędu i poprawy;  
A Ty patrzeć nie możesz na łez ludzkich zdroje,  
Ni się wyprzesz twych dzieci, rodzicu łaskawy!  
Coż ci zostaje? wyrzec dawne słowa twoje;  
    *„Kości spruchniałe! powstańcie z mogiły*  
    *„Przywdziejcie ducha i ciała i siły!”*

JAN PAWEŁ WORONICZ.

## LESZEK BIAŁY.

Od dworaków opuszczona  
 Helena w stroju niedbałym,  
 Gdy syna trzyma u łona,  
 Co go zwano Leszkiem Białym,  
 Tak wzerzy skargi płaczliwe  
 Na swe losy nieszczęśliwe:

„Ty się śmiejesz dziecię lubo,  
 Bo nie znasz twojej niedoli,  
 Nie znasz spisków na twą zgubę:  
 Oto z stryja twego woli  
 Wydarłać państwo niecnota,  
 A jam wdowa, ty sierota.

„Zrodzony, byś berłem władał,  
 Dziś przewrotnych ludzi wiaś,  
 Wszystkoś na świecie postradał,  
 Tułasz się biedna dziecińo!  
 Ja cię przytulę do łona,  
 Lecz zkądże inna obrona?

„Powściągnij łzy tve królowo.  
 Zawołał Goworek stary,  
 Bylem ojcę radą zdrową,  
 Synowi dochowam wiary:  
 Póki dłoń ta mieczem władnie,  
 Żadna nań trwoga nie padnie.”

Pod czułym starca dozorem  
 Wzrastał w siły Leszek Biały,  
 I szedł chlubnym Piastów torem,  
 Był sprawiedliwy i śmiały,  
 Zręczny w rycerskich gonitwach,  
 I szczęśliwy w krwawych bitwach.

Goworek przez cnoty swoje  
 Wzbudził nienawiść dworaków,  
 Przyszli na Leszka podwoje,  
 Mówiąc imieniem rodaków:  
 Oddał Goworka, korona  
 Nazad ci będzie wrócona.

Królowa w modrzewiu dworze  
 W skromnej siedziała komnacie,  
 I w skromnym była ubiorze:  
 Nio miała złota na szacie;  
 Przy niej, poselstwem zdziwiony,  
 Siedział Leszek zamyślony.

Gdy milczą, Goworek stary  
 Tak ich zdumienie przerywa:  
 „Przyjm księżę ludu ofiary,  
 Panuj, kiedy lud cię wzywa,  
 Niech kraj na tém nieszkoduje,  
 Że mnie zawiść prześladowe.

„Ja stary, władzy nie chciwy,  
 Do skromnej ojców zagrody  
 Wrócę wygnaniec szczęśliwy;  
 Ty długie uśmierz niezgody,  
 A rządząc krajem potężnym,  
 Bądź sprawiedliwym i mężnym.

„Jeżeli są to, zem pracował,  
 Los mi usłyszeć zostawi,  
 Że tego, com ja wychował,  
 Naród Polski błogosławi,  
 Nie umrę w cieniu mej strzechy,  
 Bez słodkiej sercu pociechy.“

Tu gdy płakała królowa,  
 Gdy we łzach wszyscy przytomni,  
 Księżę odpowie w te słowa:  
 „Leszek nigdy nie zapomni,  
 Co winien sobie, krajowi,  
 I co winien Goworkowi.

„Nie chcę, by mąż, co mnie wspierał,  
 Gdym się tułał opuszczony,  
 Dla mnie wyгнаńcem umierał;  
 Nie chcę państwa, ni korony,  
 Nad blask, co berło udziela,  
 Wyżej cenię przyjaciela.“

Nagrodziły Nieba hojnie  
 Tę szlachetność, tyle męztwa,  
 Leszek zwycięzca na wojnie  
 Odzyskał wydarte księstwa,  
 Stary Goworek przy zgonie,  
 Oglądał Leszka na tronie.

NIEMCEWICZ J. U.

## MOWA ZYGMUNTA AUGUSTA DO POSŁÓW.

(z tragedyi Barbara Radziwiłłówna.)

Posłowie! wamże mężom z cnót i światła znany,  
 Wam stróżom swobód ludu, od ludu wybranym,  
 Oto przystało prośby przy mym składać tronie  
 Żebym poprzysiężoną wiarę złamał żonie,  
 Nie żebym jój każdemu ściśle dochowywał?  
 Radzicież bym najświętaze z żoną związki zrywał  
 Dla tego żem je w zamku zawarł nie w świątyni,  
 Że od nich łatwo króla Rzym wolnym uczyni?  
 O ślepoto! niech dobroć niebios was ochroni  
 By téj, której dziś na mnie używacie broni,  
 Przeciwko wam następcy nie zwrócili moi!  
 Bez ich wiary czyć wolność wasza się ostoi?

Znam powinności moje, znam i moje prawa.  
 Żadna Monarchom polskim nie każe ustawa  
 W żon wybieraniu własnej wyrzekać się woli.  
 Król wolnych samże tylko miałby żyć w niewoli?  
 Jeślim pomimo senat z ojczystego kraju  
 Biorąc małżonkę, przodków odstąpił zwyczajui;  
 Czyż małe uchybienie mam zbrodnią poprawiać  
 I rządów mych pierwiastki wiarołomstwem wsławiać?

Czyż odrzucając, hańbiąc, zdradzając Barbarę,  
 Za mój błąd mam niewinną skazywać na karę?  
 Nie. — Żaden prawodawca, żaden sąd na świecie  
 Tegoby nie nakazał . . . i wy nie możecie.  
 Tytus rzekł się kochanki i jest słusznie czczony,  
 Byłby splamił swe imię gdyby rzekł się żony.

Cnotom Barbary winny hold składacie sami,  
 Czemużby więc nie miała panować nad wami?  
 Czyż wy nierzetelniejszym zaszczytem sądzicie  
 Być godną ręki króla, niż wziąć z królów życie?  
 Ujmę przez to krwi mojej próżno przesąd głosi,  
 August się nie poniża; tylko ją podnosi.  
 Jeśli nie idzie z rodu świetnego korona,  
 Jest królową Polaków, jest Jagielly żoną  
 Gdym współ-obywatelkę waszą na tron wzywał  
 Wdzięczność od was nie skargi sobiem obiecywał  
 Obcych Monarchów córki na ten tron dzieliły,  
 Swojej nowej ojczyźnie wszystkie wierne były?  
 Dwie wspomnieliście sławne ważnemi posługi,  
 Lecz sławnych łzami ludu szereg nadto długi.

Wszyscy w ościennych państwach będący na czele,  
 Jawnie, lub skrycie nasi są nieprzyjaciele  
 Czyż krwi związki zdobywczy zapęd ich rozbroją,  
 Dopokąd nas szanują, dopokąd się boją:  
 Niech tylko Polska z królem swym będzie związana  
 A rękę że jęj nigdy bać się nie przestana

Dziś pora (jeśli dbacie o jej byt i całość)  
 Okazać jednomyślność, gorliwość i stałość,  
 Oto niosące na nas oręż napańniczy  
 Sypią się z Krymu hordy wyuzdanej dziczy.  
 Część braci rozdzielonych, jarzma miacierpliwa,  
 Wznosząc ręce do braci, wybawienia wzywa;  
 W kraju bezrząd; o ścianę srogi bój się wznaga,  
 Wszędzie potrzebna czujność, rada i odwaga;  
 I w tych że to niestety! chwilach niebezpiecznych,  
 Sejm, nadzieja narodu, sejm czoło walecznych,  
 Na gorszących niesnaskach czas najdroższy traci?  
 Potożecie wysłani od waszych tu braci  
 Ażebycie królowi żonę wydzierali?  
 Nie wydrzecie, przysięgam na ostrze tej stali:  
 Sejm, naród i świat cały tego nie dokaże;  
 Nad tron, nad życie, więcej wiarę moją waże.

Słyszeliście mój wyrok. Wróćcie na obrady.  
 Prawami szczęścia Polski umocnić zasady;  
 A wkrótce gdy głos kraju po śmierć lub wawrzyny  
 Wywoła nas za brzegi Odry albo Dźwiny,  
 Ujrzycie, dzieląc z królem waszym boje krwawe,  
 Czy mniej jak żonę kocham ojczyznę i sławę.

ALOIZY FELIŃSKI.



## M A R Y A.

Dzielne było natarcie. Tatareckie szwadrony,  
 Ich księżyce, buńczuki z końskimi ogony,  
 Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,  
 Płóć śniada, wąsy zwisie a czarne jak kruki,  
 Ich nasepione rysy, przymrużone oczy,  
 W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,  
 Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały  
 Pożar, stopy w około, świszczące już strzały,  
 Żadnego, albo raczej jak z bodźców odzienie,  
 Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.  
 Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło z bliska  
 Ludziom ostrza się dotknąć, koniom pyskiem pyska,  
 Gdy w pół-obręcz wpadali wsławioném prawidłem,  
 Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem;  
 „Alla hu!” wrzasły hordy, i tysiączne roty  
 Na opasanych strute wypuściły groty.  
 „Hura!” krzyknęła wiara, i lotem sokoła  
 Chmurę strzał przeszywała w środku tego koła.  
 Dochodzą, już dochodzą zbitym w rzędy tłumem,  
 Lasem dzid najeżonych, z hukiem, z traskiem,  
 z szumem,

Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powatał kurz, a  
ściana

Przebitych Bisurmanów wali się złamana.  
Tratują ludzi konie; koncerze, kopije,  
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije;  
Zapał głowy ogarnął; stal błyska; krew broczy;  
Śmierć trzusi się zdmuchując wywrócone oczy!  
Wszystko to chwilę trwało, bo z boków i w tyle  
Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile.  
Czas ginąć bułcom polskim; młody wódz je zbiera,  
Zachęca ich, szykuje, obraca, naciera.  
Dopiero mieszanina: każdy obkoczony,  
Wirem męstwa na wazystkie wywija się strony,  
Rąbie, sili, morduje z nieprzebraną zgrają,  
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają;  
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,  
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski.

\* \*

W natłoku wrogów, co go od swoich oddziela,  
Sam, bez wsparcia, nadziei, świadka, przyjaciela,  
Walczył ponury Waclaw, i walczył już o to,  
Żeby życia co cięży nie oddać sromotą;  
Śmierć miotal śmierci pragnąc, oh! bo w serca głębi  
Pisk taki, jak gołębia pod dziobem jastrzębi,  
Harmonją jego myśli. Lecz czy to z zdziwienia,  
Czy z strachu, czy też skutkiem dzielnego ramienia,  
Ściśkająca go w węzeł niezliczona tłuszcza,  
Coraz to w większą przestrzeń przed nim się rozpuszcza;

Widzą, poznają wodza, i każdy kolejną  
 Rzuci się, zmiesza, zginie; zwyciężyć nie śmieją.  
 I gdy błękitném okiem rozpoznał młodzieniec,  
 Cofający się przed nim nieprzyjaciół wieniec,  
 Smutku tylko doświadczył z tój dziwnej korzyści,  
 Że już jego przeczucie na nim się nie ziści.  
 Czemuż choć jedną strzałę nie mieli w kołczanie,  
 Coby jadem jaszczurki utkwila się w ranie?  
 Żal mu, że już uchodzą, życia się obawia,  
 Goni ich srogie dusze, pierś im nadstawia.  
 Zaraz — zaraz! — Otyły, brunatno-czerwony  
 Han tatarski tam wpada wściekłością spieniony:  
 Postrzegł że jego hordy jakaś moc zwycięża,  
 Postrzega że to męstwo samotnego męża;  
 Targą klęczystą brodę z rozpaczy w ohydzie,  
 Gębę krzykiem rozdziawia: o! zgrozo! o! wstydział  
 Na jednego tysiąca z zmarszczoną powieką  
 Miecze wznoszą, już lecą, rozsieką! zosaieką!

Jakież to grały trąby za przyległym lasem?  
 Jakież to świeże hufy czwają z bałasem?  
 Jakież to nowy rycerz krzyżowym zamachem  
 Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?  
 Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,  
 Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę;  
 A w pływających ruchach, w wydatnej postawie,  
 Szparko biegnący pospiech o szybkość w obawie,  
 Jak lwica opuściwszy swoje lwiatko skoczy

Zajadłém męztwem, gdy je wpośród ludzi zoczy:  
 Jak matka, o wygnańcu straciwszy nadzieję,  
 Gdy ujrzy swoje dziecię, w radości topnieje:  
 Z takim zmieszaniem czuciem i matki i lwicy,  
 Z kordem świecącym w ręku, z lotem błyskawicy,  
 Zdziwionym, zlekłym oczom gdyby jakiej mary,  
 Obok swojego zięcia Miecznik stanął stary.  
 Jego hufce tuż za nim; jego przywitanie,  
 Tobie należy najprzód napuszony Hanie!  
 Lecą obces na siebie: Polacy, Tatarzy,  
 W beczynnem zachwyceniu patrzą, co się zdarzy,  
 Jakis czas Miecznik zmuził; uderzy, odskoczy,  
 I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy;  
 Aż wybrawszy swą porę, w odwet silnym razem  
 W kark niewierny święconém utopił żelazem.  
 Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,  
 Drga oczami, belkoce niepojęte słowa,  
 Toczy się, ziewa, blednie i gaśnie; z tulupa  
 Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!  
 Powstał krzyk przeraźliwy; pierzchają; koń Hana  
 Ucieka między hordy z trupem swego pana.  
 Strach przejął barbarzyńców; grzmiały trąby, rzecz grają.  
 Nowi rycerze gonią, dawni się zbiegają,  
 Trzask, iskry, świst z połyskiem, huk, wrzask, jęki, rżenie,  
 A zapyłona Sława upieknią zniszczenie.

MALCZEWSKI.

**SZANUJ KAŻDEGO.**

Nie pogardzaj ubogimi,  
Gdy jesteś bogaty;  
Bo nie czynią nas wielkimi  
Klejnoty i szaty.

Nie wydzieraj co cudzego,  
Sznuj wszystkie stany;  
Poznaj w czleku brata swego,  
A będziesz kochany.

WJCIECH BOGUSŁAWSKI.

## ODA DO JENIUSZA.

Jeniuszu! ty jeden nie opuść mnie w życiu!  
 Skrzydłem twem boskiem obwiewaj mą duszę,  
 A śpiewać będę, i śpiewem poruszę  
 Siły tajemne, choć w piekła ukryciu!

Kiedy chmury jak duchy powietrznego gmachu,  
 W olbrzymich kształtach, odzieniem ciemnoty  
 Niebo zakryją — zadrzy świat w przestracchu,  
 Niechaj mnie wzniosą skrzydeł twych poloty  
     Tam — w chmury czarne —  
     Pieśń i tam zadźwięczy;  
     A okiem tęczy  
     Chmury w krag ogarne!

Jeniuszu! gdy burza ześle wiatry męciwe,  
 I niebo morzem ognia się zapali,  
 Chcę jak rumaka schwycić fali grzywe,  
 I twojem skrzydłem popędzić na fali!  
     Niechaj nadpowietrzne żagle  
     Serce moje, duszę wzmogą;  
     Wiatry zdepcą moją nogą,  
     I do jarzma wiatry znagle!

Jeniuszu! gdy ludzie uśpieni bezwładnie  
 Od burzy legną, co zmysły ich głuszy.

Śpiew ty mój natchnij! a z duszy do duszy,  
 Jak słońce w oko, śpiew mój błyszcząc wpadnie.  
 Wszystkie siły wstrząśnię na dnie,  
 Wstrząśnię cały świat uśpiony,  
 Jako lutni mojej strony,  
 Kiedy niema ręka władnie!

Jeniuszu! ty i piersi natchniesz zemsty pieśnią,  
 I śpiew mój będzie czuły, jak płacz matki,  
 Mściwy, jak w piekle zemsty sobie nie śnią;  
 I ludzie — niebo — staną mu na świadki:  
 Jako sercu, myśl wysoka,  
 Jako myśli, czynów dzielność,  
 Jako czas — pieśniom proroka  
 Jako prawdzie — nieśmiertelność!

A gdy przyjdzie godzina, wieszcz słaby zaginie,  
 Jeniuszu! ty i w śmierci bądź moim aniołem;  
 Niech życie skończę, jak życie zacząłem,  
 Życie i śpiew mój ach w jednej godzinie!  
 Niech ostatnie głosy moje,  
 Jak dźwięk lutni w echa brzmieniu,  
 We śnie miłym tam dostroję,  
 Tam dosłyszę w przypomnieniu!

GARCZYŃSKI.

## CHŁOPEK.

Rycerz to niewielki,  
 Krajowi ubliża,  
 Który nad stan wszelki  
 Wieśniaka poniża.

Pracowity chłopek  
 I żywi i broni,  
 Żywi jego snopek,  
 I strzecha osłoni.

Ostrzem jego kosy  
 Ozłaca się ziemia,  
 On na niej wnet kłosa,  
 Wnet wawrzyn rozplemia.

Z wolkim on w pokoju  
 Uprawia nam błonie,  
 Na koniku w boju  
 Pospieszca w obronie.

Te błyszczące grody,  
 Te pańskie pałace.  
 Jego to zachody,  
 I jego są prace.



Jego jest ciężarem,  
 Co lekko pan trwoni,  
 On na to pod skwarem,  
 Z bydłociem pot roni.

Z dziećmi on głodnemi.  
 Te ziareczka zgania,  
 Które pan po ziemi  
 Za cacko roztrwania.

W pomoc kraju bieży  
 Za pańskiemu syny,  
 Wszędzie on należy,  
 Prócz zysku i winy.

Sam po tylej stracie  
 Od nędzy nas chroni,  
 W swojej tylko chacie  
 Jej mieszkać nie wzbroni

Rycerz to niewielki,  
 Krajowi ubliża,  
 Który nad stan wszelki  
 Wieśniaka poniża.

BRODZIŃSKI.

## BALLADA, JAKICH WIELE.

Wieczorem w niedzielę,  
 Przy wiejskim kościele,  
 Dziad stoi i bije w dzwony:  
 Młodzieniec nieznany,  
 Nadchodzi i słucha zdziwiony.

I pyta nieśmiełe:  
 „Mój dziadku! w tém siele  
 „Któż ziemskie opuścił mieszkanie?“  
 „Smutne to są sprawy;  
 „Jeżeliś ciekawy,  
 „Posłuchaj, opowiem mój panie.

„Przed kilku latami  
 „Żył we wsi téj z nami  
 „Kmieć z kmiecia zamożny, poczciwy.  
 „Ni soli, ni chleba,  
 „Niebyło tam trzeba,  
 „Był czczony, kochany, szczęśliwy.

„I było ich troje:  
 „On z żoną we dwoje,  
 „A synek jedynak był trzeci;  
 „Wesoły, rumiany,  
 „Przystojnie odziany,  
 „Zwyczajnie, jak bywa syn knieci.

„Raz ojciec z wieczora  
 „Powraca ze dwora,  
 „I wzdycha i mówi do żony:  
 „Mój Boże! mój Boże!  
 „Jak też to przy dworze  
 „Stan kmiotka maluczki, wzgardzony.

„Prostaczek w tym tłumie,  
 „Gdzie każdy coś umie,  
 „Nie znaczy ni pracą, ni wiekiem;  
 „I nam Bóg dał dziecię,  
 „Czemużby też przecie  
 „I ono nie było człowiekiem.

„Przedajmy dwa woły,  
 „Niech idzie do szkoły,  
 „A kto wie, co się i z nim stanie;  
 „Może się przy dworze  
 „Umieści, a może . . . .  
 „A może i — księdzem zostanie.”

„Jak rzekli, zrobili,  
 „Lecz grubo zbłądzili,  
 „Bo szczęście i w kmięcym jest stanie;  
 „Dobra jest nauka,  
 „Ale kto jój szuka  
 „Nie z pychy — wszak prawda mój panie!

„Co rok więc na szkoły  
 „Z ojcowskiej stodoły  
 „Szło zboże, z obory dobytek  
 „Syn wzrastał w rozumie,  
 „Lecz za to i w dumie,  
 „Na smutny rodzicom pożytek.

„I przeszło lat wiele,  
 „A nikt go w tem siele  
 „Nie widział w zagrodzie rodzica;  
 „A z cicha mówiono,  
 „Ze w mieście tam pono  
 „Waszmości udaje szlachcica;

„Ze w głowie ma państwo,  
 „Nie święte kapłaństwo,  
 „Ze ojca wstydzi się w sukmanie;  
 „A Bóg się tym brzydzi,  
 „Kto ojca się wstydzi:  
 „Nieprawda? cóż wam to mój panie?

„Tym czasem oknami,  
 „Jak mówią i drzwiami  
 „Bieda się do niskiej poła strzechy;  
 „Ucieka dostatek,  
 „Przyrasta zaś latek,  
 „A znikąd pomocy, pociechy.

„Starcowi i niwa,  
 „W młodości życzliwa,  
 „Kąkole wydaje i głogi;  
 „Więc nieraz w potrzebie  
 „Na syna, na siebie  
 „Zapłakał ów człowiek ubogi.

„Aż pracą znużony,  
 „Aż troską strawiony,  
 „Raz upadł przy pługu na łanie,  
 „I zasnął na wieki,  
 „A nikt mu powieki  
 „Niezamknął: płaczecie mój panie?

„O! powieść nie cała:  
 „Wszak matka została,  
 „A matka biedniejsza na świecie;  
 „Biada jest każdemu  
 „Człowieku samemu,  
 „Lecz stokroć samotnej kobiecie.

„Więc piemem kazala,  
 „Ze łzami błagała:  
 „Moj synu! rzuć świetne marzenie;  
 „Uczcij mą siwiznę,  
 „Weź ojców puściznę,  
 „A znajdziesz spokojność i mienie.

„Ba — panie kochany!  
 „Groch rzucaj na ściany:  
 „Trza było z rodzinnej wyjść ziemi,  
 „I rękę przy drodze  
 „Wyciągnąć niebodze  
 „Gdzieś z dala pomiędzy obcemi.

„Aż dzisiaj ją rano  
 „Nieżywą zdybano  
 „W swej lubej zagrodzie przy ścianie;  
 „Przez litość w tej chwili  
 „Jej my to dzwonili:  
 „Co wam jest dla Boga mój panie?“

A młodzian nieznany  
 Wzrok toczył zblakany,  
 I krzychał z oschłemi powieki:  
 „Jam jest ten zabójca  
 „I matki i ojca  
 „I szczęścia mojego — na wieki.

„Roilem, marzylem,  
 „Czcze mary gonilem,  
 „Wiatr rozwiał sny złota przedemną;  
 „Dziś zdrowy, zbudzony  
 „Przychodzę w te strony:  
 „Miej litość, miej litość nademną.

„O! dzisiaj, w tém siele,  
 „Ja chleb mój w popiele  
 „Zwalany łzy memi obmyję;  
 „I jeść go zasięde,  
 „I szemrać nie będę,  
 „Lecz rzeknij: wstań, matka twa żyje!

I upadł na ziemi,  
 I łzami krwawemi  
 Zalał się, w okropnym był stanie;  
 Dziad oczy skrył w dłonie,  
 A idąc na stronie  
 Rzekł z cicha: „nierychło mój panie!“

JANKOWSKI, J. N.

## R Ó Ź E.

O! sercu najmiłsze różyczki kochane,  
 O! z kwiatów rodzinnych najdroższe,  
 Ach! od wia, choć blaskiem poranku owiane,  
 I lilie we wdziękach uboższe!

Ach! róży, ach! róży,  
 Wśród ziemi rozlogów,  
 W téj życia podróży  
 Tak wiele jest głogów;  
 Ach! róży, ach! róży.

Śpi dziecię w kotysce w snów błogich objęciu,  
 Jak gwiazdka, nim niebo się schmurzy;  
 Lecz ze snów któż szczęście przepowie dziecięciu,  
 Gdy lubą uczuje woń róży?

Ach! róży, ach! róży,  
 Wśród ziemi rozlogów,  
 W téj życia podróży  
 Tak wiele jest głogów;  
 Ach! róży, ach! róży.

Młodzieniec po górach, przepaściach, dolinie  
 Przebiega po kwiaty na wianki;  
 Lecz z kwiatów najmiłsza jest róża dziewczynie  
 Różyczką wieńcz skronie kochanki!



Ach! zerwij ją świeżą,  
 I miłą i ładną,  
 Nim gromy uderza,  
 I listki opadną.  
 Ach! zerwij ją świeżą!

A kiedy głos braci powoła cię w szranki,  
 Ty w domu nie gnuśniej niegodnie:  
 Lecz mężnie, z szablicą i z różą kochanki,  
 Pobiegnij wesoło — swobodnie!

Ach! róży, szablicy,  
 Jak lubój uateczek:  
 Przyniesiesz dziewicy  
 Wawrzynu listeczek.  
 Ach! róży, — szablicy!

A jeśli wśród boju polegiesz; nad tobą  
 Współbracia usypią kurhanek,  
 I przyjdzie dziewica odziana żalobą,  
 Porzuci ze świeżych róż wianek.

I róża zakwitnie  
 Na grobu murawie,  
 Tak cudnie, zaszczytnie,  
 Jak pamięć o sławie  
 Tak róża zakwitnie!

EDMUND WASILEWSKI.

### PROSTAK WIEJSKI

Niewiem gdzie tam lepiej komu,  
 Każdyc panem własnej woli;  
 Mnie najlepiej w ojców domu,  
 Więc rad siedzę na swój roli.  
 Nie ciekawym, co tam pada  
 Zagranicznym miastom moda;  
 Sieję sobie swe zagony,  
 Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam szuka obyczaju,  
 Pędzi w świat . . . Otwarte wrota?  
 Dzięki Bogu, wiem i w kraju,  
 Co jest rozum, grzeczność, cnota.  
 Wolę ja w staroświecczyźnie,  
 Własnej wiernym być ojczyźnie,  
 Bom z pradziadów Polak chrzczony,  
 Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś przez mądre tam mozoly,  
 Myśli, że świat przeinaczy.  
 Toć i jam odbywał szkoły,  
 Wiem co ta ich mądrość znaczy.

Hurt na hurt, wolę ja stare:  
 Ojców serce, ojców wiarę,  
 Żyć dla dzieci i dla żony,  
 Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam ludzi durzy, mami,  
 I gdy jakiś zysk w tém zoczy,  
 Górnościami, czułościami,  
 Jako może, mydli oczy.  
 U mnie, znam się na oszustach,  
 Prawda w sercu, prawda w ustach,  
 Do prostotym zwyczajony, •  
 Niech Bóg będzie pochwalony!

Niech tam sobie ląkną drudzy,  
 Chwały, sławy, i tak dalej;  
 Mnie gdy w domu lubią słudzy,  
 Gdy mię w wiosce kmięć pochwali,  
 Gdy pochwalą mię sąsiedzi,  
 A zwłaszcza ksiądz u spowiedzi,  
 Tom już całkiem nacieszony,  
 Niech Bóg będzie pochwalony!

STEFAN WITWICKI.

## W E S E L E.

W Brzezan miasteczku, w kościele u Fary,  
 Jaśniejce ołtarz; potężne organy  
 Wstrząsają pełne grobowców filary.  
 Po ławkach jasne migają żupany:  
 Tam poślkniały ksiąg pergamin stary,  
 A owdzie stoczek złotem malowany.  
 Ołtarz upstrzony woskowemi kwiaty:  
 Służba rozwija kobierzec bogaty.

Swaty i drużby wystąpili strojno,  
 I młoda para przysięgi powtarza.  
 Z otwartem czołem Jan Bielecki, zbrojno,  
 W husarskiej zbroi, w miszurce ze stali.  
 Jako do bitwy stanął do ołtarza;  
 Patrzy na młodą a wzrok mu się pali.  
 Przy męskiej piersi, gdzie żelazo lśniło,  
 Od łubej w miłym dany upominku  
 Skłaniał się bukiet z róży i barwinku.  
 I drżał listkami tak mu serce biło,  
 Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem...  
 A dalej, swaty za młodym rycerzem,  
 A dalej, bracia, husary, pancerni,  
 A dalej, służba w wielkiem stoi kole,

Zbroją od prostej odróżniona czerni.  
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem  
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,  
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże wystrojona!  
Trudno weselne opisać ubiory.  
Ślubna jej szata była w dwa kolory:  
Błękitną barwą lśniącą jedna strona,  
Bo takie było męża herbu pole,  
A na mienionym jedwabiu lazurze  
Lśnił się herb, srebrne księżycą półkole,  
Gwiazda, nad gwiazdą, hełm o strusiem piórze;  
A druga strona sukni szkarłatowa,  
I herb dziewicy azyty na szkarłacie,  
Srebrzyste strzemię i złota podkowa.  
Piękna to szata, a przy takiej szacie  
O jakże cudna, gdy się wstydem ploni!  
Widne łzy w oku, widne drżenie dłoni,  
I cała postać powiewna i drżąca  
Jej śnieżne łono westchnieniem odtrąca  
Tę młodą różę, co wpół wychylona  
Aksamitnego dotknęła się łona.

Dla czegoż smutna? ... Patrz na wód lazurze  
Kwiat się przegląda w jeziora kryształe;  
Choć chmury słońca nie zakryją światu,  
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;

Lilia wodna może przeczuć burzę,  
Kwiat czuje — Ona miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,  
Zagrali grajki, grzmia liczne wystrzały;  
I pochodniami świecili kozaki,  
Noc księżycowa widna jak dzień biały.  
„Stójcie!” zawołał pierwszy swat, „przede mną  
Nie widzę domu... Janie! wszak tu droga  
Do twojej chaty? ha! cóż to? dla Boga!  
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?  
Wieśniak ostatniej między doorywa...”  
Kiedy to mówił — przybiogł jeden, drugi:  
Patrzę, nie wierzę — sam Jan staje, słucha,  
Blednieje — nagle z tłumy się wyrывa;  
A w tłumie była cichość straszna, głucha.

Wkrótce Jan wrócił — prędko jak blysk gromu,  
Staął przed żoną obłąkany, blady.  
Na jego szatach widać krwawe ślady...  
„Anno,” rzekł, „Anno! wracaj! — nie mam domu!  
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!  
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniósę sromu.  
Już mnie domowe szczęście nie omami,  
Wracaj o Anno! ty będziesz szczęśliwa.  
W twojem objęciu zalałbym się łzami.  
Ja nie mam domu!...” Zadrzał — i spał konia,  
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

Nazajutrz rano pochowali w grobie  
Starca, co orał grunt ostatniej miedzy.

Bielecki zniknął: — żadnój o nim wiedzy,  
A po nim żona chodziła w żałobie.  
Jéj serce straszno skolatały ciosy,  
Po ánie wesela został płacz — pierścionek.

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,  
Gdzie był dom Jana, samotny skowronek  
Wzleciał nad skiby przeoranéj roli,  
Nuąc piosenkę smutku i niedoli.

SŁOWACKI, J.

**KRZESIWO, KRZEMIEŃ I HUBKA.**

Jato światło rozniecam, rzeczce raz krzesiwo;  
 Na to krzemień: jako-żywo!  
 Ze mnie światło bierze życie!  
 Hubka odpowie: oba się mylicie,  
 Znikłaby w chwili wasza iskra mała,  
 Gdybym ja jój nie wstrzymała,  
 Na to rzekł człowiek pokiwawszy głową:  
 Wazyatkiem jesteście razem, a niczem cząstkowo;  
 Niczem krzemień bez hubki, hubka bez krzesiwa  
 Wspólną waszą pomocą światło się rozsięwa.

JACHOVICZ



## S T A Ś.

Staś na sukni zrobił plamę;  
 Płacze i przeprasza mamę.  
 Korzystając z chwili mama,  
 Rzecz: na sukni wypierze się plama.  
 Ale strzeż się moje dziecię,  
 Brzydkim czynem splamić życie.  
 Bo ci, Stasiu, mówię szczerze,  
 Ta się plamę nie wypierze.

JACBOWICZ.

## WIEŚ.

Cudze chwalicie,  
 Swego nie znacie;  
 Sami nie wiecie  
 Co posiadacie.  
 A boć niesłusznie  
 Te wioski liczne,  
 Ten kraj kochany!  
 Bogate łany,  
 Bujne ogrody,  
 Łączka wesoła,  
 A na niej trzody  
 Widzieć dokoła.  
 Zdaleka borek,  
 Na górze dworek,  
 W koło topole,  
 A tam . . . na dole  
 Strumyk jak wstęga  
 Ku rzecę sięga.  
 Tu niskie chatki  
 A przy nich działki  
 Hoże, rumiane,  
 Jak malowane.

Co to za życie!  
 O! takie dziecię  
 Widzieć wam trzoba  
 Z partyką chleba,  
 Z ułamkiem sera;  
 Tam dusza szczerą,  
 Pełno prostoty,  
 A nie brak cnoty.  
 Przy chatce chatka,  
 W pracy czeladka,  
 W polu figury  
 W podworku kury,  
 Na oknie kotek,  
 Przy płotku, płotek,  
 I pies przy budzie.

A co za ludzie!  
 Każdy gotowy,  
 Sercem i słowy  
 Przyjąć w gościnę:  
 Da i pierzynę,  
 Sobie odejmie,  
 A da uprzejmie.

Zboże w stodole,  
 A chleb na stole,  
 A piwo w dzbanie:  
 Pij i jedz panie!

Gdys, wstąpił w progi,  
Toś już nam drogi.

My nieostatni!  
Tu uścisk bratni —  
Rzecz to nierzadka.  
Tu zacna matka  
Uczy pacierza,  
Dobro rozszerza,  
O Bogu prawi  
I błogosławi.  
Nie umie czytać,  
A prozę spytać  
Co nas szczęśliwi?  
Aż cię zadziwi,  
Jak ci odpowie:  
Bo rozum w głowie;

Nie jeżdź po świecie;  
Znajdziesz tu przecie  
Niegorsze rzeczy;  
Nikt nie zaprzeczy:  
Że w tym kąciku  
Cnoty bez liku,  
Uzucia żywe  
Serca pocziwe.

JACHOWICZ.

## KONRAD WALLENROD.

## PIEŚŃ WAJDROTT.

„Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,  
 Jój przyjście wieszczą odgadnie żrzenica;  
 Bo jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,  
 Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach  
 Staje widomie morowa dziewica \*)  
 W bieliznie z wiankiem ogniastym na skroniach,  
 Czołem przenosi białowieskie drzewa,  
 A w ręku chustką skrwawioną powiewa.

„Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,  
 A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,  
 Kopią, śmierć wiotrzą, i okropnie wyją,

„Dziewica stąpa kroki złowieszczemi,  
 Na sioła, zamki i bogate miasta;  
 A ile razy krwawą chustką skinie,  
 Tyle pałaców zniemia się w pustynie:  
 Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

---

\*) Lud prosty w Litwie wyobraża morowc powietrze w postaci dziewicy.

Zgubne zjawisko! — ale więcej zguby  
 Wróżył Litwinom od niemieckiej strony  
 Szyszak błyszczący ze strusiami czuby,  
 I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.

„Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,  
 Niczem jest klęska wiosek albo grodów:  
 Cała kraina w mogiłę zapadła.  
 Ach! kto litewską duszę mógł ochronić,  
 Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,  
 Będziemy dumać, śpiewać i lzy ronić.

„O wieści gminna, ty arko przymierza  
 Między dawnymi i młodszymi laty!  
 W tobie lud składa broń swego rycerza:  
 Swych myśli przedzę, i swych uczuć kwiaty.

„Arko, tyś żadnym niezłamana ciosem,  
 Póki cię własny twój lud nie znieważy:  
 O pieśni gminna, ty stoisz na straży  
 Narodowego pamiątek kościoła,  
 Z archanielskimi skrzydłami i głosem —  
 Ty czasem miewasz i broń archanioła.

„Płomień rozgryzie malowane dzieje,  
 Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:  
 Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega;  
 A jeśli podłe dusze nie umieją

Karmić ją żalem i poić nadzieją,  
 Ucieka w góry, do gruzów przylega;  
 I stamtąd dawne opowiada czasy.  
 Tak słowik, z ogniem zajętego gmachu  
 Wyleci, chwilę przysiadzie na dachu;  
 Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,  
 I brzmiając piersią nad zgłiszcza i groby  
 Nuci podróżnym piosenkę żaloby.

„Słucham piosnek — nieraz kmieć stoletni,  
 Trącając kości żelazem oraczém,  
 Stanął, i zagrał na wierzbowej fletni  
 Pacierz umarłych, lub rymowym płaczem  
 Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni!  
 Echa mu wtórzają: ja słuchałem z dala;  
 Tęm mocniej widok i piosnka rozżala,  
 Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

„Jako w dzień sądny z grobowca wywoła  
 Umarłą przeszłość trąba archaniola;  
 Tak na dźwięk pieśni kości z pod méj stopy  
 W olbrzymie kształty zbiegły i zrosły.  
 Z gruzów powstają kolumny i stropy,  
 Jeziora puste brzmia licznemi wiosły,  
 I widać zamków otwarte podwoje,  
 Korony książąt, wojowników zbroje.  
 Śpiewają wieszczce, tańczą dziewic grono —  
 Marzyłem cudnie, srodze mię zbudzono!

„Zniknęły lasy i ojczyste góry :  
 Myśl znurzonemi ulatując pióry  
 Spada, w domową tuli się zaciezę ;  
 Lutnia umilkła w otrętwiałém ręku,  
 Śród żałośnego spółrodaków jęku  
 Często przeszłości głosu nie dosłyszę.  
 Lecz dotąd iskry młodego zapalu  
 Tlą w głębi piersi: nieraz ogień wzniecą,  
 Duszę ożywią, i pamięć oświecą.  
 Pamięć naówczas, jak lampa z kryształu,  
 Ubrana pędzłem w malowne obrazy,  
 Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,  
 Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,  
 Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,  
 Jeszcze na ścianach pałacu rostoczy  
 Krasne acz nieco przyćmione kobierce.

„Gdybym był zdolny własne ognie przelać  
 W piersi słuchaczów, i wkrześć postaci  
 Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać  
 Brzmiącemi słowy do serca spółbraci;  
 Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,  
 Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,  
 Uczuli w sobie dawne serca bicie,  
 Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,  
 I chwilę jednę tak górnie przeżyli,  
 Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.“



Kończ pieśń, (rzekł Konrad) ja zaśpiewam inną:  
 Kiedy walczyłem na górach Kastyli,  
 Tam mnie Maurowie ballady uczyli.  
 Starcze! graj nutę, tę nutę dziecinna,  
 Którą w dolinie ... o! byłto czas błogi, —  
 Na tę muzykę zwykłem zawsze nucić.  
 Wracajże starcze, bo przez wszystkie bogi  
 Niemieckie, pruskie — starzec musiał wrócić:  
 Uderzył lutnię i głosem niepewnym  
 Szedł za dzikimi tonami Konrada,  
 Jako niewolnik za swym panem gniewnym.

Tymczasem światła gasnęły na stole,  
 Rycerzy długa uspiła biesiada;  
 Lecz Konrad śpiewa, budzą się na nowo.  
 Stają, i w szczyplem ścisnąwezy sie kole  
 Pilnie zważają każde pieśni słowo.

#### BALLADA.

Już w gruzach leżą Maurów posady,  
 Naród ich dźwiga żelaza;  
 Bronią się jeszcze twierdze Grenady,  
 Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary  
 Almanzor z garstką rycerzy;  
 Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,  
 Jutro do szturm uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,  
 Rwą się okopy, mur wali:  
 Już z minaretów błysnęły krzyże,  
 Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe roty  
 Zbite w upornej obronie,  
 Przerznął się między szable i groty,  
 Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżej zamku ruinie,  
 Pomiedzy gruzy i trupy,  
 Zastawia ucztę, kapie się w winie,  
 Rozdziela brańce i łupy.

Wtém straż oddźwiczna wodzom donosi,  
 Że rycorz z obcej krainy  
 O posłuchanie co rychlój prosi,  
 Ważne przywołac nowiny.

Byłto Almanzor, król muzułmanów,  
 Rzucił bezpiecznie ukrycie,  
 Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,  
 I tylko błaga o życie.

„Hiszpanie!“ woła, „na waszym progu  
 Przychodzę czołem uderzyć,  
 Przychodzę służyć waszemu Bogu,  
 Waszym prorokom uwierzyć.

Niechaj rozgłosi sława przed światem,  
 Że Arab, że król zwalczony,  
 Swoich zwycięzców chce zostać bratem,  
 Wassałem obcej korony."

Hiszpanie mestwo cenić umieją:  
 Gdy Almanzora poznał,  
 Wódz go uściskał, inni koleją  
 Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,  
 Wódza najczuliej uściskał,  
 Ohjął za szyję, za ręce chwycił,  
 Na ustach jego zawisnął.

A wtém osłabnął, padł na kolana,  
 Ale rękami drżącemi  
 Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,  
 Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał dokoła, wszystkich zadziwił,  
 Zbladłe, zsiniałe miał lice,  
 Śmiechem okropnym usta wykrzywił,  
 Krwią mu nabiegły źrzenice.

„Patrzcie o! giaury, jam siny, blade:  
 Zgadnijcie, czym ja postem?  
 Jam was oszukał, wracam z Grenady,  
 Ja wam zarazę przyniosłem.

Pocałowaniem wszczepilem w dusze  
 Jad, co was będzie pożerać;  
 Pójdźcie i patrzcie na me katusze,  
 Wy tak musicie umierać."

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona;  
 Chciałby uściśnieniem wieczném  
 Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;  
 Śmieje się — śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki,  
 Jeszcze się usta nie zwały,  
 I śmiech piekielny został na wieki  
 Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwoźni z miasta uciekli,  
 Dżuma za nimi w ślad biegła;  
 Z gór Alpuhara nim się wywlekli,  
 Reszta ich wojska poległa.

MICKIEWICZ.

## Ł O W Y.

Rówienniki Litewskich wielkich kniaziów, drzewa  
 Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa!  
 Których cień spadał niegdyś na koronne głowy  
 Groźnego Witenesa, Wielkiego Mindowy,  
 I Giedymina, kiedy na Ponarskiej górze  
 Przy ognisku myśliwskim, na niedźwiedziej skórze  
 Leżał słuchając pieśni mądrego Lizdejki,  
 A Wilii widokiem i szumem Wilejki  
 Ukołysany marzył o wilku żelaznym\*);  
 I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym,  
 Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,  
 Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi.  
 Z tego to miasta Wilna, jak z rzymskiej wilczycy  
 Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,  
 Równie myśliwi wielcy jak sławni rycerze,  
 Czyli wroga ścigali, czyli dzikie zwierzę.  
 Sen myśliwski nam odkrył tajnie przeszłych czasów,  
 Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.

Któż zhadzał puszczy litewskich przepastne krainy,  
 Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?

\*) W. Książę Giedymin miał podobno sen na górze Ponarskiej o wilku żelaznym, za radą Wajdeloty Lizdejki założył Wilno.

Rybak ledwie u brzegów nawidza dno morza;  
 Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,  
 Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,  
 Lecz obce mu ich wewnętrzne serca tajemnice.  
 Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje.  
 Bo gdybyś przeszedł bory i podazyte knieje,  
 Trafisz w głęby na wielki wał pniów, kłód, korzeni,  
 Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni.  
 I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk,  
 Gniazdami os, szerszeniów, kłębami węzowisk.  
 Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem meztwem,  
 Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem:  
 Dalej co krok czychają, niby wilcze doły  
 Małe jeziorka, trawą zarosłe na poly,  
 Tak głębokie, że ludzie dna ich niedośledzą,  
 (Wielkie jest podobieństwo, że djabły tam siedzą).  
 Woda tych studni śklni się plamista rdzą krwawą,  
 A z wnętrza ciągle dymi zionąc woń plugawą,  
 Od której drzewa w koło tracą liść i korę:  
 Lyse, skarłowaciale, robaczliwe, chore,  
 Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,  
 I pnie garbiąc brzydkimi grzybami brodate,  
 Siedzą w okolo wody, jak czarownice kupa  
 Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Za temi jeziorkami już nietylko krokiem,  
 Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem:  
 Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,

Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi;  
 A za tą mgłą nakoniec (jak wieść gminna głosi)  
 Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,  
 Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.  
 W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,  
 Z których się rozrastają na świat ich plemiona,  
 W niej, jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu  
 Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.  
 W samym środku (jak słyhać) mają swoje dwory  
 Dawny Tur, Żubr i Niedźwiedź, puszczeni imperatory.  
 Około nich na drzewach gnieździ się Ryś bystry,  
 I żarłoczny Rosomak, jak czujne ministery;  
 Dalej zaś, jak podwładni szlachetni wassale,  
 Mieszkają Dziki, Wilki i Łosie rogale,  
 Nad głowami Sokoly i Orłowie dzicy,  
 Żyjący z pańskich stołów, dworocy zauszniczy  
 Te pary zwierząt główne i patryarchalne,  
 Ukryte w jądze puszczy, światu niewidzialne,  
 Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,  
 A sami we stolicy używają wczasu:  
 Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,  
 Lecz starzy umierają śmiercią naturalną,  
 Mają też i swój smętarz, kędy blizcy śmierci,  
 Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.  
 Niedźwiedź gdy zjadłszy zęby strawy nieprzeżnwa,  
 Jeleń zgrzybiały gdy już ledwie nogi suwa,  
 Zając sędziwy gdy mu już krew w żyłach krzepnie,  
 Kruk gdy już posiwieje; sokół gdy oślepnie,

Orzeł gdy mu dziób stary tak się w kablak skrzywi,  
 Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,  
 Idą na smętarz. Nawet mniejszy zwierz raniony  
 Lub chory bieży umrzeć w swe ojczyste strony.  
 Stądto w miejscach dostępnych kędy człowiek gości,  
 Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.  
 Słychać, że tam w stolicy między zwierzętami  
 Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami,  
 Jeszcze cywilizacją ludzką niepopsuci  
 Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,  
 Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki.  
 Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,  
 Dzikie i swojskie razem w miłości i zgodzie,  
 Nigdy jeden drugiego nie kasa, ni bodzie.  
 Nawet gdyby tam człowiek wpadł chociaż niezbrojny,  
 Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;  
 Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,  
 Jakim w onym ostatnim szóstym dniu stworzenia  
 Ojce ich pierwsze, co się w ogrójcu gnieździły,  
 Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.  
 Szczęściem człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,  
 Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciokłe ogary,  
 Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,  
 Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,  
 Uciekają skowycząc z obłąkanym wzrokiem;  
 I długo potem ręką pana już głaskane



Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.  
 Te puszcz stołeczne, ludziom nieznanie tajniki  
 W języku swoim strzelcy zowią Mateczniki.

Głupi niedźwiedziu! gdybyś w Mateczniku siedział,  
 Nigdyby się o tobie Wojski nie dowiedział.  
 Ale czyli pasieki zwabiła cię wonność,  
 Czy uczuleś do owsa dojrzałego skłonność;  
 Wyszedłeś na brzeg puszczy, gdzie się las przerzedził,  
 I tam zaraz leśniczy bytność twą wysłodził,  
 I zaraz obsaczniki, chytre nasłał szpiegi,  
 By poznać, gdzie popasasz i gdzie masz noclegi;  
 Teraz Wojski z obławą już od matecznika  
 Postawiwszy szeregi odwrót ci zamyka.

Cicho: — próżno inyśliwi natężają ucha,  
 Próżno, jak najciekawszej inowy, każdy słucha  
 Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka;  
 Tylko muzyka puszczy gra do nich zdaleka.  
 Psy nurtują po puszczy jak pod morzem nurki,  
 A strzelcy obróciwszy do lasu dwórurki,  
 Patrzą Wojskiego: ukląkł, ziemię uchem pyta;  
 Jako w twarzy lekarza wzrok przyjaciół czyta  
 Wyrok życia lub zgonu iniej im osoby,  
 Tak strzelcy ufni w sztuki Wojskiego sposoby  
 Topili w nim spojrzenia nadziei i trwogi.  
 „Jest! jest!“ wyrzekł półgłosem, zerwał się na nogi.  
 On słyszał; oni jeszcze słuchali — nareszcie

Słyszą: jeden pies wrzasnął, potem dwa, dwadzieście,  
 Wszystkie razem ogary rozpiezchnioną zgrają  
 Doławiają się, wrzeszczą, wpadli na trop, grają,  
 Ujadają. Już nie jest to powolne granie  
 Psów goniących zająca, lisa albo łanię;  
 Lecz wciąż wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły:  
 To nie na ślad daleki ogary napadły,  
 Na oko gonią — nagle ustał krzyk pogoni,  
 Doszli zwierza — wrzask znowu, skowyt — zwierz  
 się broni  
 I zapewne kaleczy: wśród ogarów grania  
 Słychać co raz to częściej jęk psaiego konania.

Strzelcy stali, i każdy ze strzelbą gotową  
 Wygiął się jak łuk naprzód z wciśnioną w las głową,  
 Niemogą dłużej czekać! już ze stanowiska  
 Jeden za drugim zmyka i w puszcze się wciska,  
 Chcą pierwsi spotkać zwierza: choć Wojaki ostrzegał,  
 Choć Wojski stanowiska na koniu obiegał,  
 Krzycząc, że czy kto prostym chłopem czy paniczem,  
 Jeżeli z miejsca zejdzie, dostanie w grzbiet smyczem;  
 Nie było rady! wszyscy pomimo zakazu  
 W las pobiegli, trzy strzelby huknęły od razu,  
 Potem wciąż kanonada, aż głośniejszą nad strzały  
 Ryknął niedźwiedź i echem napelnił las cały.  
 Ryk okropny! boleści, wściekłości, rozpaczy;  
 Za nim wrzask psów, krzyk strzelców, trąby dojeżdżaczy  
 Grzmiały ze środka puszczy; strzelcy ci w las spieszą,

Tamci kurki odwodzą, a wszyscy się cieszą;  
 Jeden Wojski w żalości krzyczy, że chybiono.  
 Strzelcy i oblawnicy poszli jedną stroną  
 Na przelaj zwierza między ostępem i puszczą;  
 A niedźwiedź odstraszoney psów i ludzi tłuszcza  
 Zwrócił się nazad w miejsca mniej pilnie strzeżone  
 Ku polom, z kąd już zeszy strzelcy rozstawione,  
 Gdzie tylko pozostali z mnogich łowczych szyków  
 Wojski, Tadeusz, Hrabia z kilką oblawników.

Tu las był rzadszy; słychać z głębi ryk, trzask łomu,  
 Aż z gęstwy jak z chmur wypadł niedźwiedź nakasztalt  
 gromu;

W kolo psy gonia, straszą, rwą; on wetął na nogi  
 Tylne i spojrzął w kolo, rykiem strasząc wrogi,  
 I przedniemi łapami to drzewa korzenie,  
 To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie  
 Rwał, waląc w psów i w ludzi; aż wylamał drzewo  
 Kręcąc nim jak maczugą, na prawo na lewo;  
 Runął wprost na ostatnich strażników oblawy,  
 Hrabie i Tadeusza: oni bez obawy  
 Stoją w kroku, na zwierza wytknęli flint rury,  
 Jako dwa konduktory w łono ciemnej chmury:  
 Aż oba jednym razem pociągnęli kurki,  
 (Niedoświadczeni!) razem zagrzmiały dwóruki.  
 Chybili; Niedźwiedź skoczył, oni tuż utkwiony  
 Oszczep jeden chwycili czterema ramiony,  
 Wydzierali go sobie; spojrzą, aż tu z pyska

Wielkiego czerwonego dwa rzędy kłów błyska,  
 I łapa z pazurami już się na łby spuszcza;  
 Pobledli, w tył skoczyli, i gdzie rzadnie puszcza,  
 Zmykali; zwierz za nimi wspiał się, już pazury  
 Zahaczał, chybił, podbiegł, wspiał się znów do góry,  
 I czarną łapą sięgał Hrabiego włos piłowy.  
 Zdarłby mu czaszkę z mózgow jak kapelusz z głowy,  
 Gdy Assessor z Rejentem wyskoczyli z boków,  
 A Gerwazy biegł z przodu o jakie sto kroków,  
 Z nim Robak, choć bez strzelby — i trzej w jednej chwili  
 Jak gdyby na komendę razem wystrzelili.  
 Niedźwiedź wyskoczył w górę jak kot przed chartami,  
 I głową na dół runął, i czterma łapami  
 Przewróciwszy się młyńcem, cielska krwawe brzemię  
 Waląc tuż pod Hrabiego, zbil go z nóg na ziemię  
 Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły  
 Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły.

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty  
 Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty  
 Jak wąż boa, oburącz do ust go przycisnął,  
 Wzdął policzki jak banie, w oczach krwią zabłyśnął,  
 Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha,  
 I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,  
 I zagrał: róg jak wicher niewstrzymanym dechem  
 Niesie w puszcze muzykę i podwaja echem.  
 Umilkli strzelce, stali szczerwacze zadziwieni  
 Mocą, czystością, dziwną harmonią pieni.

Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach sływał,  
 Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;  
 Napęłnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,  
 Jakby psiarnię w nią puścił i rozpoczął łowy.  
 Bo w graniu była łowów historia krótka:  
 Zrazu odzew dźwięczący, rzeski: to pobudka,  
 Potém jęki po jękach skomlą: to psów granie:  
 A gdzie niegdzie ton twardszy jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,  
 Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Zadał znowu: myśliłbyś, że róg kształty zmieniał,  
 I że w ustach Wojskiego to grubiał to cieniał,  
 Udając głosy zwierząt; to raz w wilczą szyję  
 Przeciągając się, długo przeraźliwie wyje,  
 Znowu jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gardło,  
 Ryknął; potém beczenie żubra wiatr rozdarło,

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,  
 Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.  
 Wysłuchawszy rogowój arcydzieło sztuki,  
 Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu: jakby w rogu były setne rogi,  
 Słychać zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,  
 Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry  
 Podniósł róg, i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,  
 Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało,  
 Pe drzew tyle rogów znalazło się w boru,  
 Jedne drugim pieśń niosą jak z choru do choru.  
 I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,  
 Coraz cięsza i coraz czystsza, doskonalsza.  
 Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!

Wojski obiedwie ręce odjąwszy od rogu  
 Rozkrzyżował; róg opadł, na pasie rzemiennym  
 Chwiało się. Wojski z obliczem nabrzmiałem, promiennem,  
 Z oczyma wzniesionemi, stał jakby natchniony,  
 Łowiąc uchem ostatnie znikające tony.  
 A tymczasem zagrzniało tysiące oklasków,  
 Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.

MICKIEWICZ.

## POWRÓT TATY.

BALLADA A. MICKIEWICZA.

Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem  
 Za miasto, pod słup na wzgórek,  
 Tam przed cudownym klękajcie obrazem,  
 Pobożnie zmówcie paciórek.

Tato nie wraca; ranki i wieczory  
 We łzach go czekam i trwodze;  
 Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,  
 I pełno zbójców na drodze.

Słyszac to dziatka biegną wszystkie razem,  
 Za miasto pod słup na wzgórek,  
 Tam przed cudownym klękają obrazem,  
 I zaczynają paciórek.

Calują ziemię, potem w imię Ojca,  
 Syna i Ducha świętego,  
 Bądź pochwalona przenajświętsza Trójca  
 Teraz i czasu wszelkiego.

Potém Ojcie nasz, i Zdrowaś i Wierzę,  
 Dziesięcioro i Koronki,  
 A kiedy całe zmówili pacierze,  
 Wyjmą książeczkę z kieszonki.

I litanią do Najświętszej Matki  
 Starszy brat śpiewa; a z bratem,  
 Najświętsza Matko, przyspiewują dziatki,  
 Zmiluj się, zmiluj nad tatem!

W tém słyhać turkot, wozy jadą drogą,  
 I wóz znajomy na przedzie:  
 Skoczyły dzieci, i krzyczą jak mogą:  
 Tato, ach tato nasz jedzie!

Obaczył kupiec, tzy radośnie leje,  
 Z wozu na ziemię wylata:  
 „Ha, jak się macie? co się u was dzieje?  
 Czyście tęskniły do tata?

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowy?  
 A ot rozynki w koszyku;“  
 Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,  
 Pełno radości i krzyku.

Ruszajcie, kupiec na sługi zawoła,  
 Ja z dziećmi pójdę ku miastu.  
 Idzie . . . . aż zbójczy obskoczą do kola,  
 A zbójców było dwunastu.



Brody ich długie: kręcone wąsiska  
 Wzrok dziki, suknia plugawa,  
 Noże na pasem, miecz u boku błyska,  
 W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,  
 Tułają się pod płaszcz na lonie;  
 Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,  
 Drżące ku zbójcom wznosił dłonie.

„Ach bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,  
 Tylko puszczajcie nas zdrowo,  
 Nie róbcie małych sierotami dzieciak  
 I młodej małżonki wdową.”

Nie słucha zgraja, ten już wóz wyprzęga,  
 Zabiera konie, a drugi  
 Pieniędzy krzyczy i buławą sięga,  
 Ów z mieczem wpada na sługi.

W tém, stójcie, stójcie, krzyknie starszy zbójca.  
 I spędza bandę precz z drogi  
 A wypuściwszy i dzieci i ojca,  
 Idźcie, rzekł, dalej bez trwogi.

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:  
 „Nie dziękuj, wyznam ci szczerze,  
 Pierwszybyś palkę strzaskał na twój głowie,  
 Gdyby nie dzieciak pacierze.

Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało  
 Darzą cię życiem i zdrowiem;  
 Im więc podziękuj za to, co się stało,  
 A jak się stało, opowiem.

Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,  
 I ja i moje kamraty,  
 Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupca  
 Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty,  
 Modlą się dziatki do Boga:  
 Słucham, z początku porwał mię śmiech pusty,  
 A potem litość i trwoga.

Słucham, — ojczyste przyzły na myśl strony,  
 Buława upadła z ręki:  
 Ach ja mam żonę! i u mojej żony  
 Jest synek taki maleńki.

Kupcze jedź w miasto, ja do lasu muszę,  
 Wy dziatki na ten pagórek  
 Biegajcie sobie, i za moją duszę  
 Zmówcie też czasem paciórek.

## UŁAMEK.

## NAŚLADOWANY Z GŁOZY Ś. TERESY.

Vivo sen vivir en mi  
 Y tan alta vida espero  
 Que muero porque no muero.

(GŁOZA ŚTEJ TERESY.)

Przed życiem czuję — nie przed śmiercią — trwozę —  
 Bo takie światy widzę tam przed sobą  
 Że mi ten ziemski, grobową żalobą,  
 I tém umieram — że umrzeć nie mogę!

Umrzeć lub cierpieć! — cierpieć bez miary!  
 Bo mnie się z Tobą trza złać w Twojem niebie,  
 Lub gdy nie można — żyć w piekle dla Ciebie!  
 Szlij mi więc męki jak niebieskie dary!  
 Im srozsze będą, tém mi więcej błogie —  
 Ja przed spokojem tylko czuję trwozę  
 I tém umieram że umrzeć nie mogę!  
 Jedynej ulgi na moje męczarnie  
 — A jedna tylko i ŚMIEĆ się nazywa —  
 Śmierci dać sobie niezdołam bezkarnie!  
 O bardzom Panie, bardzom nieszczęśliwa!

Tę jedną szczęścia Tyś zamknął mi drogę  
I tém umieram, że umrzeć nie mogę!

Czasem Cię tylko widuję w widzeniu  
Lecz Ty nie raczysz długo zemną zostać,  
Wnet niknie Bożo-człowiecza Twa postać  
I w gorszem jeszcze konam znicestwieniu!  
— Przed chwilą byłam w Wieczności rozlana —  
— Nikt nie rozeznałby sługi od Pana —  
Ty, Bóg, Ty dla mnie stawaleś się mały,  
A ze mnie małej, wyrastał Bóg cały!  
Tyś się zamykał w mému sercu jak w grobie —  
— Jam się jak Bezmiar szerzyła ku Tobie!  
Przez nieakończonęj Łaski zezwolenie  
Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie —  
Stworzenie w Stwórcę, przez jedno westchnienie.

Mnie już tak było jakby po pogrzebie —  
Bez ciała byłam, na ziemi i niebie.  
Na wieki z Tobą — przy Tobie — u Ciebie!  
W twarz Ci patrzyłam — ale nie oczyną —  
Bo na to wzroku ócz śmiertelnych niéma.  
Głos Twój słyszałam — lecz nie ziemskim słuchem —  
Wszystkom widziała i słyszała — duchem! —  
A jednak Panie Tyś jaśniał przedemną  
Jakby słońce słońce w którym kształt człowieka!  
Ach! światło dzienne, nocą wiecznie ciemną  
Przy tym promieniu co z Twych skroni ścieka.

— Choć nie cielesny — widomszy niż ciało —  
 I słowo każde co z ust Twych splywało  
 Dźwiękiem dźwięczniejszym, niż dźwięk ssan przez uszy,  
 Niebrzmiące, brzmiało jak pieśń, w mojej duszy!  
 I hylam z Tobą — oglądałam Ciebie —  
 Nie ukrytego w przenajświętszym Chlebie,  
 Nie tajonego przesłonami Cudu —  
 Lecz jakim bywasz wśród Aniołów ludu  
 Tam gdzie nad światem królujesz z Świętymi!  
 Takim Cię — takim — tu miałam, na ziemi!  
 Bo silniej kocham, goręcej niż Oni!  
 — Już w domu wiecznym Tyś dał im mieszkanie —  
 A ja gdzie mieszkam? — co mnie strzeże, broni?  
 Gdy mnie porzucasz, zostaję w rozpacz —  
 Lecz ból i rozpacz, cóż to dla mnie znaczy?  
 Im bardziej tęsknię, tém kocham goręcej,  
 Im więcej męki, tém miłości więcej,  
 W tem piekle bożem Bożego kochania,  
 Gdzie Twa obecność, mnie nawet rozrania —  
 Bo chwilą później Tyś znowu daleki,  
 I nim powracasz, upływają wieki!  
 Bez Boga mego — a z Boga wspomnieniem  
 Leżę na ziemi grobowym kamieniem —  
 A pod tym glazem méj niewzruszoności  
 Smutek przejada do szpiku me kości!  
 Żądam bez miary — miłuję bez granic —  
 Miłość i żądza nie zdały się na nic —  
 Zmienionam cała w jedno upragnienie,

Lecz Twojej woli w tych chwilach niezmienię!  
 Pan nieśmiertelny nie zstąpi do slugi,  
 Aż kiedyś — kiedyś — znowu po raz drugi  
 I mimo Twoją, o Ty mój, przestrogę  
 Ja tém umieram, że umrzeć nie mogę!

Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy  
 Że Ciebie kocham za przyezłe nadgrody,  
 Za obiecane w królestwie Twém gody,  
 Za palmy — harfy — i cuda — i dziwy —  
 Za jakąkolwiek bądź w niebie zapłatę,  
 Którąbyś spłacił mi dni mych utratę?  
 Ja kocham Ciebie — żeś był nieszczęśliwy!  
 Że przeboleś tu wszystko co boli,  
 Że zniosieś wszystko co tylko poniża,  
 Ty Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,  
 Ty Bóg, przez katów prowadzon do Krzyża!  
 Ja Ciebie kocham — że Cię o téj chwili  
 Niebo odbiegło — i ludzie zdradzili!  
 Ja Ciebie kocham — żeś był przymuszony  
 Wolać do Ojca: „O jani opuszczony“ —  
 Ja Ciebie kocham, za Twoje konanie  
 I za śmierć więcej niż za Zmartwychwstanie!  
 Bo mi się zdaje że Ty Zmartwychwstały  
 Nie tyle biednej potrzebujesz slugi; —  
 Już wtedy służy Ci twój wszechświat cały —  
 Stopą powietrzne przelatujesz smugi! —  
 Lecz kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje

Że wracam duchem w widziane już kraje,  
 Że oglądałam gdzieś wprzód to wzgórze  
 I krzyż ten zbroczon w krwi Twojej purpurze!  
 Że Magdalena, ta święta, Twa miła,  
 Co tam tak jęczy — to ja chyba była!  
 Bo w sercu mojem, jój serce mi płacze,  
 Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy jój oka,  
 I rozpacz moja, tak straszna — głęboka —  
 Że być nie mogą dwie takie rozpacze!  
 Nie — ona Ciebie więcej nie kochała —  
 Ja wiem że Ona wielka, a ja mała,  
 Bom mniej czynami Tobie zasłużona —  
 Lecz więcej Ciebie nie kochała ona!  
 Jakżeż to będzie mój Panie, mój Boże?  
 Jakżeż rozdzielić sądem Salomona  
 Tę jedną miłość, między te dwa łona?  
 — Bo dwóch miłości być takich niemoże!

— Nie — Ciebie więcej nie kochała ona!  
 Raz tylko w życiu na Golgockim pyle  
 Leżała w płaczu, Dwią Twoją zroszona —  
 Raz jeden tylko — a ja razy tyle! —  
 Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza  
 Kalwaryjskiego przytomność cmentarza  
 I z po za wieków upłynionych tyła  
 Wraca ta do mnie zobecniona chwila  
 W której śród Niebios i ziemi zaćmienia  
 Zwarł Wszechstworzyciel w obec wszechstworzenia!

Aż padnie z zorzą pierwszy promień dzienny  
 Widuję w celi tej krzyż Twój męczenny  
 I na tém drzewie oglądam Twe ciało  
 Ostatkiem światła jeszcze tłące biało  
 Gdy wszystko w okół, jak w grobie, zczerniało!

Ty i ja Panie — nikt więcej — my sami —  
 Tak blizcy siebie — a tak rozdzieleni —  
 Bo ja tu w dole pod Twemi stopami  
 A Ty nademną, w tej strasznej przestrzeni,  
 Do kłód tych z cedru przybity gwoździami!  
 Z razu ja klęczę w milczeniu — a cała  
 Drgająca ciałem od inak Twego ciała —  
 Kolcują w skroniach mi koleje Twych skroni,  
 Rwą mnie w mych dłoniach żelazca Twych dłoni —  
 W boku mnie szarpie, boku Twego rana —  
 I choć tum w dole, takim z Tobą złana  
 Żem z Tobą w górze tam nkrzyżowana!

ZYGMUNT KRASIŃSKI.



## L Z A.

O ty z anielskiej ulana czystości,  
 Łzo, kropło boska, wyciśniona z duszy  
 Słodki ulewie wezbranój rzewności,  
 Kogoż twój widok nie wzruszy!

Niebo nas twoim pocieszając tworem,  
 Wgłębi serc tajne wskazało ci źródło;  
 I ztamtąd skrytym prowadząc cię torem,  
 Drogą spojrzenia wywiodło●

Jakże się czystą, jakże piękną rodzisz,  
 Wdzięcznym kochanki rozjaśniona okiem!  
 Ach! ty sam uśmiech dobroci przechodzisz,  
 Piękności twojej urokiem.

W tobie to każde uczucie przemawia,  
 Miłość cię, litość, żal i radość leje;  
 W tobie to prawda serca się wyjawia,  
 I promień cnoty jaśnieje.

Jak na uwitym z młodych róży wieńcu  
 Drzy wonna rosa porankiem błyszcząca;  
 Tak ty na wstydu płonącym rumieńcu  
 Lánisz się i cicha i drżąca.

Tys jest ostatnią niewinności bronią,  
 Ty skrapiasz wazystkie wieki i stany,  
 Ciebie nędzarze, ciebie króle ronią,  
 Bo któreż serce bez rany?

O jak w téj ciężkiej życia nawałnicy,  
 Słodkiém, cudowném jest twoje przybycie;  
 Ledwie z wezbranój wytryśniesz źrenicy  
 I jużci lżejszém jest tycie.

Wraca odwaga, powracają siły,  
 Boską roskoszą orzeźwia się dusza;  
 I do tych ofiar, co tak trudne były,  
 Zmęźniała cnotą się zinusza.

Piękny! wyłączny człowieka udziale!  
 Tobie tę cenę same dały nieba;  
 Ażeby wszystkich win przeważyć szalę,  
 Jednej lzy tylko potrzeba.

Bóg to, Bóg ciebie w naszą istotność wsączył,  
 Onto nas w twojej do słodyczy przenika;  
 Onto tak ściślém ogniwem cię złączył  
 Z każdą dolą śmiertelnika.

Tobą świat wita, z tobą z świata schodzi,  
I tobą ślad życia oznacza;  
Tobą się z sercem rozdwojoném godzi,  
Tobą pociesza, przebacza.

Ciebie on wzywa, gdy boleść go tłoczy  
Ciebie z serc wszystkich w zgonie przywolywa  
I w ten czas nawet, gdy cię już nie zoczy  
Jeszcze cię na grób przyzywa.

MORAWSKI

## ZNIWO.

Ale już lato upał wznagając skwarliwy  
 Ogniem złoci tchnieniem popłowiele niwy;  
 Szepcą w krzakach koniki, przepiórka chrapliwa  
 Pod ważącym się kłosem daje hasło żniwa.  
 Dopiąstowała ziemia czekanej nagrody:  
 Pospieszaj za nią w pole, korzystaj z pogody,  
 Zbieraj hoże dziewice i krzepkich młodzieńców,  
 Gromadź orszak ochoczy z ranną zorzą żęńców;  
 Niechaj się mięsza z gwarem licznej rzeszy głosów  
 Chrzęst krzywych sierpów, szelest spadających kłosów,  
 Ty sam zaprzęgaj woły, póki pora sprzyja;  
 Niechaj się wóz za wozem szybkim pędem mija;  
 Szparkim rzutem napelniaj snopami zapole,  
 To twoje, coś uchronił przed słą w stodole.  
 A gdy radośne pieśni pod niebo się wzbiją,  
 I dłonie pracowite wieniec ci uwiją,  
 Gotuj uczy. — Już śpiewa u wrót orszak cały  
 Przygany dla sąsiada; dla ciebie pochwałą.  
 Wyjdź przeciw, wezwij w progi, przyjm wieniec na  
 czoło.  
 I z tą, która go niosła, zrób ochocze kolo.

Ta lipa lub ten jesion, co przecina chmury.  
 Co pod niemi spoczywał może z Piastów który,  
 Staną im za przysionek z ozdobnemi stropy:  
 Miękkie trawniki nagiej nie obrażą stopy;  
 Za ognie w alabastrach albo szklach iskrząco  
 Zabłysną na lazurach jasnych gwiazd tysiące;  
 A jakibądź niezgodne wydadzą dźwięk strony,  
 Skoro na nich ojczyście odezwą się tony,  
 Zadrgnie w żyłach krew młodzi, każdy poda dłońie  
 Towarzyszce, przy której żywał na zagonie.  
 Zaczną się szybkie skoki, zacząją koła zwrotne,  
 Przeplatane przez pieśni i rymy zalotne,  
 Jakiemi się spierali pasterze Marona.  
 Lub śpiewał w Czarnym lesie wieszcz óród knieci  
 grona.

Tak gdy ochota orszak unosi wesoly,  
 Zajmą ojce i matki rozstawione stoly.  
 Rozprawiać o przygodach będą dawnych czasów,  
 O wojnach pod Sobieskim, swobodzie za Sasów,  
 O nieplenności roku, wróżbach urodzaju,  
 Lub z westchnieniem wyliczać będą klęski kraju;  
 Bo tu do ust przechodzi, co się w sercu mieści.  
 Zmieszają się z smutnemi i inle powieści  
 O dzieciach rodzicielskim posłusznych naukom,  
 I uśmiechną się lica niewyrodnym wnukom.  
 Szczera życzliwość wejdzie w tajemną rozmowę,  
 Rając pocziwych zięciów, nadobne synowe.

Tworzą się lube związki, miłość do nich wzywa.  
Prawa córo natury, prostoto szczęśliwa!  
Ty z dziedzictwem twojej matki powaby jej dzielisz,  
Jej wdziękiem się zalecasz, uśmiechem weselisz,  
I niestarte ojczystych zwyczajów obrazy.  
Przekazujesz następcom bez odmian i skazy.

KAJETAN KOŹMIAN.

## LEGENDA.

W czasach grabieży i niepokoju  
 Był człowiek, co przez lat wiele  
 Zebrany pieniądz o krwawym znoju  
 Przechował w garnku w popiele.

Lecz się nie zwierzył w nagłym skonaniu  
 Ani przed żoną, lub dzieckiem;  
 I długo, długo tak w zaniedbaniu  
 Ten garnek stał pod przypieckiem.

Jednego razu wszedł do téj chaty  
 Biedny zgłodniały podróżny,  
 Ledwie okryty podłemi szmaty,  
 I kornie prosił jałmużny.

Choć gospodyni w pośród rodziny  
 Przy jadle była za stołem,  
 Lecz bez litości, jakby na drwiny,  
 Dała mu garnek z popiołem.

Żebrak z modlitwą opuścił chatę,  
Przyjąwszy datek z ochotą:  
Bóg za pokorę dał mu zapłatę,  
Bo znalazł w popiele złoto.

Tak doświadczenie prawdy żywota  
Złożyło w prostej legendzie:  
Niech pyszny rozum szyderstwo miota,  
Pokora prawdy dobędzie.

HOŁOWIŃSKI.



## WSPOMNIENIE.

Gdy zegar życia bić zacznie,  
 W grającej wiosny godzinie,  
 Mile, prędko i nieznacznie,  
 Strumień dni szczęśliwych płynie;  
 A gdy się ranek żaluje,  
 Już południe ulatuje,  
 Już wieczór..... Już nocne cienie!  
 Cóż w tej krótkiej życia dobie  
 Człowiek zostawia po sobie?  
 Co go przyjdzie szukać w grobie?  
 Wspomnienie, tylko wspomnienie!

Te, którym niebo żalobne,  
 Na złość w krótkiej błýśnie dobie,  
 Dwa serca sobie podobne,  
 Lecz przeznaczone nie sobie.  
 Znając się już choć nieznanie,  
 Gdy się złączą niespodziane  
 By opłakać to złączenie,  
 Cóż rozłączonych pociesza?  
 Co ich cierpienia zawiesza,  
 Kropie szczęścia do łez miesza?  
 Wspomnienie, tylko wspomnienie!

Na nieznajomy manowiec,  
 Pędzony losy srogiemi  
 Kij pielgrzymi wziął wędrowiec,  
 I idzie błądzić po ziemi.  
 U progu rodzinnej chatki,  
 Łzy rodziny, ojca, matki,  
 Przeklinają rozłączenie.  
 Już daleki . . . . . już znikniony!  
 Jakiż Anioł użalony,  
 Przenosi go w łube strony?  
     Wspomnienie, tylko wspomnienie!

Szczęście, rozkosze, zgryzoty,  
 Co pocieszy, co poruszy,  
 Miłość kraju, miłość cnoty,  
 Miłość drugiej swojej duszy,  
 Dowcip boski, mądrość śmiała,  
 Drogie skarby, droższa chwała,  
 Królów, więźniów przeznaczenie,  
 Rycerzy wędrowka krwawa,  
 Cichych ludzi, cicha sława,  
 Cóż potem wszystkim zostawa?  
     Wspomnienie, tylko wspomnienie!

KAROL Z KALINÓWKI SIENKIEWICZ.

## OKOLICE KRAKOWA.

Niech inny, pogardziwszy ojczystą dziedziną,  
 Śpiewa, jak Indów rzeki drogim kruszczem płyną;  
 Niech go zajmą Alp śnieżnych widoki olbrzymie,  
 Niech śladów dawniej chwały w nowym szuka Rzymie;  
 Niech na gruzach Palmiry nuci pieśń żałoby,  
 Niech głosi panów Nilu równe niebom groby;  
 Wyższy cel ducha mego obdarza natchnieniem:  
 Ojców ziemię ojczystém chcę uwielbić pieniem.  
 Pocóż śladem ubitym ścigać rzeszę płochą?  
 Wszak i dla nas natura nie była macochą.  
 A jeśli w obcej ziemi piękna okolica  
 Czaruje wdziękiem oczy i umysł zachwyca;  
 Jeśli skał lodowatych nęci obraz dziki,  
 Jeśli bory posepne, wesole gaiki,  
 Jeśli mają zaletę zdroje przezroczyście;  
 Dla mnie te najpiękniejsze, które są ojczyste.  
 O nieprzebrane źródło najczytszej słodyczy!  
 O ty ziemi naddziadów wdzięku czarowniczy!  
 Jak silnemi ogniwą twa święta potęga  
 Z ojczyzną ukochaną dusze nasze sprząga!  
 Dla ciebie, gdy pieśń lubą usłyszysz z daleka  
 Szwajcar, w góry nieplodne z pysznych miast ucieka.

Dla ciebie, wiecznej zimy twarde znosząc śloty,  
 W obcych krajach Lapończyk usycha z tęsknoty.  
 Dla ciebie, gdy duch niezgód z przemocą związany,  
 Lud wolny na zelżywe potępił kajdany;  
 Pod obcym niebem mężni walczyć przedsięwzięli,  
 By się z czasem na groźnych wykształcić mścicieli.  
 Ileż razy, w swój doli szukając pociechy,  
 Wzdychali z brzegów Tybru do ojczystej strzechy!  
 A nad kraj, ręką Twórcy hojnie obdarzony,  
 Przekładali ubogie naddziadów zagony.  
 O miłości ojczyzny! twa przemożna władza,  
 Do bohaterskich uczuć ludzi doprowadza.  
 Któż ci swych sił, kto życia nie odda z weselem?  
 Ty więc bądź pienia mego, ty czci mojej celem.

Węzełk.

## L A L K A.

Niech lalka będzie grzeczna, nie płacze, nie beczy,  
 Ładnie mi się ukloni i uszko nachyli,  
 A ja lalce opowiem wiele pięknych rzeczy,  
 Jak mi rodzice mówili.

W święto... mama mię w nową sukienkę ubierze,  
 I różową przepaskę zawiąże u czoła:  
 Ja wtedy będę unieć francuzkie pacierze,  
 I pojedziom do kościoła.

Toż to będzie się dziwić prostaków gromada!  
 Bo nie przy nich pisane zagraniczne słowa,  
 Mnie się głośno po polsku modlić nie wypada,  
 Czy to ja chłopka wioskowa?

Lecz cichutko... po polsku... poproszę w kościele:  
 Niech mi Bozia da rosnąć i wyładnieć prędej,  
 A dla mamy i papy niech da wiele... wiele...  
 Żółtych i białych pieniędzy!...

Oni tak lubią grosze, tak modlą się szczerze,  
 Dają na mszę dwa złote, całują obrazy,  
 A Pan Bóg taki dobry — że co dasz w ofierze,  
 To, słyszę, odda w sto razy.

Więc oni coraz hojniej Panu Bogu służą,  
 A Pan Bóg więcej płaci za ich chęć pobożną;  
 To zbierze się pieniędzy tak dużo... tak dużo...  
 Że i przeliczyć nie można.

Lalko! jaka ty śmieszna... nie rozumiesz zgoła:  
 Pytasz czy to Bóg przyjdzie we własnej postaci,  
 Albo przyszłe z pieniędzmi swojego anioła,  
 Co za pobożność zapłaci?

Gdzie tam! — jak mówi mama — z Opatrzności Bożkiej,  
 Przyjedzie tyd brodaty, da groszów, i dosyć...  
 Za pieniądze kupimy chłopów cztery wioski,  
 Co będą nam żąć i kosić.

Ty tylko tego nie wiesz — że my — to panowie,  
 A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany,  
 Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie,  
 By pracowali na pany.

Brudne, brzydkie i pijane — czysto jak nędzarze  
 W poszarpanych siermięgach ledwie włóczą ducha,  
 Lecz sami sobie winni, to Bozia ich karze,  
 Że chłopstwo papy nie słucha.

Papa kocha swe konie, mama swego szpica,  
 A chłopów każdy laje, każdy kijem kropi,  
 Doprawdy, że aż szkoda... z kąd taka różnica?  
 Niegrzeczni muszą być chlōpi!...

Ot i wczora... gdy papa zasnął po obiedzie,  
 Pytam się — czy to pięknie, i co za potrzeba,  
 Weszli — zbrudzili pokój, krzyczą jak niedźwiedzie,  
 „Chleba panoczek! daj chleba!“ . . .

Więc kazano ich obić... i słusznie obić;  
 Już ja kiedy wyrosnę i będę mieć zboże,  
 Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,  
 Nigdy się spać nie położę.

Bo proszę, jak to zasnąć, kiedy naród blady  
 I do drzwi i do okien ciśnie się z pokorą:  
 Nie nakarmić ich chlebem... to przysną się dziady,  
 Jeszcze do torby zabiorą.

Lub co gorsza — w obrazku Pan Jezus się dowie,  
 Co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie:  
 Lalko! zmówmy pacierze o chleb i o zdrowie,  
 Chłopom, i papie, i mamie.

SYKOROMLA.

## ODLUDKI I POETA.

EDWIN.

Podług złej małej cząstki, całego nie mierzę,  
 I będę czczył pięć piękną, póki w cnoty wierzę:  
 Pierwszy mój uśmiech, usta do kobiety wrzucił,  
 Pierwszą łzę moją oddech kobiety osuszył,  
 Pierwsze słowo, jej mowa kształciła pieścizną,  
 Do kobietym najpierw wyciągnął ramiona,  
 I kiedy w mgle dzieciństwa matkę poznawałem,  
 Nie wiedząc co kochanie, kobietę kochałem.  
 A jeśli później ojca surowe nauki  
 Uczyły jak żyć trzeba, i cierpienia sztuki,  
 Jeśli im winien jestem miłość, stałość w cnotcie,  
 Niemniej mozem jest winien i matki pieściznie:  
 Dobroć, miłość, cierpliwość, najświętsze zasady  
 Wpajała w młode serce własnymi przykładami,  
 I poznałem, gdym przejrzał lat młodych ciemnoty,  
 Że życie dobrej matki pierwszą szkołą cnoty.  
 Upodobanie stałe tej samej zagrody,  
 Gdzie, jakby sen pieścizny przesnuł się wiek młody,  
 Powab, co z blasku świata i sławy zapala  
 W cichy obwód rodziny przyciąga pomału,  
 Władzę, co lekkim tknięciem duszę naszą budzi,  
 Drażni, aby nagradzać, by upewnić ludzi,



I ta pewność, ta pewność, szczęścia czyste źródło!  
 Żem zyskał drugie serce, że jest całkiem moje,  
 Ta pewność, że w dwóch sercach jedno tylko bicie,  
 Komu winni jesteśmy; jeśli nie kobiecie.

## ASTOLF.

Wieszczu, teraz postrzegam, już jesteś zgubiony,  
 Nie ma dla cię ratunku... szukaj sobie żony.  
 Twój upór jakby siedział we krwi, a nie w duszy,  
 Łatwiej go jaki plaster, niżli dowód wzruszy.  
 Ale gdy teraz na bok broń satyry złożę,  
 Powiedz, u nas twój talent co obiecać może?  
 Każdy co pisze, pisze dla zysku lub chwały,  
 Zysku, nie znajdziesz wcale albo bardzo mały;  
 I choćbyś był Homerem, gdy pieniędzy nie masz,  
 Twój rękopism w szufladzie do śmierci zatrzymasz;  
 Albo nareszcie drukarz, gdy poprosisz czule,  
 Z długim myłek rejestrem wyda na bibule.  
 Ale cóż? Nic i z tego... nikt się i nie spyta,  
 Bo każdy dziś chce pisać a mało kto czyta.  
 Sława więc powiesz. Dla nas już minęła pora:  
 Europa teraz cała ojczyzną autora.  
 Niemiec, Włoch i Francji krzyżują się dzieła:  
 A chęć czytania naszych już dawno minęła.  
 Dwa albo trzy teatra i wózek księgarza,  
 To takie pole sławy naszego pisarza;  
 A te biedne teatra, gdzie na jednej scenie  
 Dzisiaj klaszczą Barbarze a jutro Syrenie,

I szczęście jeszcze, jeśli nie te same usta  
 Głoszą śpiew Terefercia i żale Augusta.  
 Jednak, jeśli wystąpisz uczniem Melpomeny  
 I na pięć długich aktów rozwalkujesz treny,  
 Każdy widz już przychodząc smutku się spodziewa,  
 I jeśli lez nie roni, to przynajmniej ziewa.  
 Lecz werolój Talii gdy podniesiesz maskę,  
 Tylu sprzecznych rozumów jakże zyskać łaskę?  
 Ten prawdę, tamten dowcip, ten koziołki lubi,  
 Ten znowu z cyrklem tylko, w rozmiarach się gubi,  
 Tamton scenie zazdrości jej własnej przestrzeni,  
 Temu ciasna i duszna, gdy się w świat nie zmieni;  
 A ci zaś którym Geoffroy pozawracał głowy,  
 Którym gazety płacą ich wyrok surowy,  
 Co uczą pisać drugich nim nauczą siebie,  
 Białe dotąd swe pióra zaczernią dla ciebie.  
 I gdy ich tylko głosy przerwą czasem ciszę,  
 Musisz się w końcu spytać: Dla kogo ja piszę?

ALEXANDER FREDBO.

## U NAS INACZĘJ.

Smutnoż tu — smutno bracia za Dunajem  
 I w oczach mokro, bo sercami tajem;  
 Ludzie nas nudzą — i świat cały nudzi;  
 Cudzo — och pusto —  rod  wiata i ludzi!  
 Niema bo rady dla duszy kozacz j;  
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Och! Ojczyzna Lasza,  
 To wazechalowieiska kr lowa i nasza!  
 Bracia zginiemy za ni , kiedy skinie,  
 Ale  niec b dziem o sw j Ukrainie;  
 Niema bo rady dla duszy kozacz j,  
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! I bujnie i mity!  
 H j! niezast puj na drodze mogity!  
 Nie  ciel si  cieniem! niech soko   oko  
 K pie w burzanach lubo a szeroko!  
 Niema bo rady dla duszy kozacz j,  
 U nas inaczej — inaczej — inaczej.

U nas inaczej! Po nad Ukrainą,  
 Wokół okolicą jarzącą się, siną,  
 Boże śpiewaki ciągną w różne strony;  
 Aż w uszach klaszcze, taki gwar zmacony:  
 Niema bo rady dla duszy kozaczój,  
 U nas inaczej — inaczej — inaczej.

U nas inaczej! Co zaśpiewam w dumie,  
 Co w głowie knowan — brat koń mój rozumie;  
 Rzy po swojemu: — czy tabun pamięta?  
 Och! za wolnością tęsknimy bliźnieta!  
 Niema bo rady dla duszy kozaczój,  
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Wciąż nuta żałoby,  
 Bo namogilna, bo pomiędzy groby  
 Ku duchom ojców przygrywa wspaniale  
 O ich minionych i bojach i chwale.  
 Niema bo rady dla duszy kozaczój,  
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Dziewczyzna już marzy,  
 Coś ze swej dumki zwierciadli na twarzy:  
 Pusta Rusalka — powiewna postawa,  
 Piękna kochana — a tęskna i łzawa:  
 Niema bo rady dla duszy kozaczój,  
 U nas inaczej — inaczej — inaczej.

U nas inaczej! Jakoś lić, weselę,  
 Krew gra burzliwiej: — o! wina mi nieć!  
 Samem powietrzem po pianemu żyję:  
 A kiedy hulam — to na łeb, na szyję:  
 Niema bo rady dla duszy kozaczęj,  
 U nas inaczej — inaczej — inaczej:

U nas inaczej! Miłość i tęsknota  
 To jak dwie prządki naszego żywota,  
 Boże mój, Boże! łzami modłę Ciebie,  
 Jak umrę, daj mi Ukrainę — w Niebie!  
 Niema bo rady dla duszy kozaczęj,  
 U nas inaczej — inaczej — inaczej! —

ZALESKI BOND.

## ROZKOSZNA, JEDYNA.

Rozkoszna, jedyna,  
 Pochmurna dolina,  
 Dla całych Tatrów ponęta:  
 Lecz lasy i skały  
 W krąg ją opasały,  
 I bramą z głazów zamknięta.

Rozkoszna, jedyna,  
 Pochmurna dolina,  
 Od całych Tatrów kochana;  
 Lecz na niej mgły gęste,  
 I deszcze w niej częste.  
 Dolina często splakana.

Bo w skalnej siedzibie,  
 W Dunajca kolebie,  
 Panuje straszny duch-potwór:  
 Zgrzybiwały zazdrośnik,  
 Dunajca miłośnik,  
 Wciąż patrzy za nim przez otwór.

Poczwara złośliwa  
 Szaleje do dziwa,  
 Jak tylko weźmiesz mu wody;

Za kroplę złota biedną  
 Piekielne bezedno  
 Potopem wre niepogody.

Siedziba szatana,  
 Skarbami zapchana,  
 W niej srebro, złoto, jak śmiecie;  
 Nie złota duch patrzy:  
 Od złota skarb rzadszy  
 Tam leży — wieczne tam życie.

Kto dosyć wytrwały  
 Aż w głębią pójść skały,  
 I na strach mocną ma głowę,  
 Ten za swoją dzielność  
 Ma tam nieśmiertelność,  
 I bierze skarbów polowę.

Lecz ducha złość wściekła  
 Zatrząśnie dnem piekła,  
 Jak tylko drzesz się pod skalę;  
 Opada ulewa,  
 Wiatr lasy wyrzywa,  
 Głaz pęka, Tatry drżą całe.

GOSZCZYŃSKI.

## PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ.

(Skrócona.)

Tam na północ! hen daleko!  
 Szumią puszcze po nad rzeką,  
 Tam świat inny, lud odmienny,  
 Kraj zapadły, równy, senny,  
 Często mazysty i piaszczysty.  
 Puszcze czarne, zboża marne,  
 Nieba bledsze, trawy rzadsze,  
 Rojały grzaskie, groble wąskie,  
 Ryby, grzyby i wędliny;  
 Lny dorodne, huk zwierzyny,  
 I kęs chleba w czoła pocie. —  
 A na pański stół łakocie:  
 Lipce stare, łosie chrapy  
 I niedźwiedzie łapy.  
 Puszcza i żubrów to kraina,  
 A dziedzictwo Gedymina! —

Cma się puszcze, mgła się zbiera,  
 Po pasiekach kraj przeziera.  
 Wół za rogi orze zgliszcze,  
 W ostrym zwirze socha świszcze,  
 A za drugą, gdzieś w postronne,  
 Ciągłą wózki jednokonne.



Koń obłączny w wózkach małych,  
 Lud w chodakach z tyka szytych,  
 W chatach dymem ogorzałych,  
 Dranicami płasko krytych.

Gdy na lud ten człek spojrzysz,  
 To aż serce żal opłynie,  
 I zapytać chęć go zbiera:  
 Co ci to Litwinie? —  
 Ale Litwin nie wygada!  
 Bo w tej duszy hart nie lada!  
 Lud to cichy, rzewny, skryty,  
 Jak to mówią, kuty, bity.  
 Kiedy szczery, jak wosk topnie:  
 Ale gdy go kto zachaczy,  
 To i w grobie nie przebaczy,  
 I na końcu swego dopnie! —

Choć kraj jego nie bogaty,  
 Radzi sobie, bo oszczędny:  
 Nie marnuje grosz na szaty,  
 Bo rozsądny i oględny.  
 Nie zwykł on się kochać w krasie,  
 Ale myśli o zapasie,  
 I dobytek w dom gromadzi,  
 I „o jutrze” wiecznie radzi.

To też znajdziesz w każdej porze  
 W bród wszystkiego, jak w komorze:

Czy w krajance, czy w gomółce,  
 Jest w serniku sēr na półce.  
 Wiszą kumpie i wędliny,  
 I półgęski i świniny;  
 Obok w długich żerdziach ryby;  
 Z siatki pachną lisne grzyby.  
 A kwas czysty miasto wody;  
 W lochu stoją białe miody,  
 Wódki starci i nalowki,  
 I rok cały lód przeleży. —  
 A już w świrnie wiszą wianki  
 I rozliczne przyodziewki:  
 Płótna cienkie, jasne tkanki  
 I przybory do odzieży.  
 W kubli stoi ów miód święty,  
 A do kola włok rospięty.

Nócąc pieśni o Birucie,  
 O Perkunie i Kiojstucie,  
 Przy łuczywie u komina  
 Przędzie mięki len družyna;  
 A w pobliżu działwy zdrowej  
 Toczy kołem wąż domowy.  
 Krosna stoją w małym oknie,  
 I czołonko pływa w włóknie;  
 Pieśni płyną, jak uroda,  
 A wiek schodzi niby woda . . . . .

Niby w ciężkiem zadumaniu  
 O przeszłości czy kochaniu,  
 Stoją niemo czarne puszcze;  
 I rozlały się jeziora . . . . .  
 A po toniach ryba pluszcze,  
 A na niebie stoi góra:  
 Puszcze płoną gdzieś z daleka,  
 I w zaścianku pies gdzieś szczeka,  
 A za głosem z tokowiska  
 Czesze gęstwą leśnik śmiały  
 Przez jelniki i zawaly  
 Do rodziny i ogniska.  
 Jak lud żyje po bożemu,  
 Tak i szlachta z sobą wzajem  
 Dawnym żyje obyczajem;  
 Na zaściankach po staremu  
 Czas jej duszy nie wykrzywił;  
 Nikt cię państwem nie oparzy.  
 A gdy w Litwie pan się zdarzy,  
 To pan sobie jak Radziwiłł!

Bracia szlachta powiernicy,  
 Leśnych włości współdziedzicy,  
 W niebielonych siedzą dworach:  
 Tamto kolój do sąsiada,  
 I z wielebnym ojcem rada  
 O sejmikach, o wyborach.

Jaka komu padnie gałka,  
Kogo wynieść na marszałka?

Lud nie darmo to myśliwy,  
I skapany w jezior łonie!  
Do głęboki, jak wód tonie,  
A jak łono puszczy, stróżliwy! —  
W puszczy téż go widzieć warto,  
Z strzelbą w ręku lub na łodzi:  
Jak mu lekko i otwarto,  
Jak strzał trafia, wiosło chodzi,  
Jak zna dobrze wagę zwierza,  
Wszystkie knieje i ostepy:  
Kędy jaka rzeka zmierza,  
Gdzie mielizny, rappy, kępy!  
To téż wodą, czy na ledzie,  
Całą Litwą cię przewiedzie.

Póki taje, jechać zdradno;  
Lecz gdy w puszczech przyschną brody,  
Gdy rzekami kry opadną,  
I powtórnie ruskie wody:  
Łądem, wodą, jada, płyną,  
Telegami i wicina,  
Do Mitawy, do Lipawy,  
A Wiliją, Niemnem, Dźwina,  
I do Tylży i do Rygi,  
Z kupią swoją na wyścigi.

Stamtąd Niemce i najemce  
 Za dalekie pławią morza  
 Maszty, klepki, runo owiec,  
 I nie jedną beczkę zboża,  
 I nie jeden lnu bierkowiec,  
 Litewskimi sycąc plody  
 Zamorskiego ludu głody.

Jak za morzem Litwa splawna  
 Z puszczy odwiecznych w świecie sławna;  
 Tak o miedzę ziemia chlebna  
 Głodnym ludom jest potrzebna.  
 Żmudź to święta! Ziemia boża!  
 Wolny oddech ma do morza,  
 I wszystkiego ma do pary;  
 Bo lud wierny w ziemi żyznej,  
 I nie skąpo tój ojczyzny! —

Od tych prądów świętej rzeki  
 Aż po morza brzeg daleki  
 I Lotyszów płodne ziemie  
 Siadło twarde Żmudzkie plemie.

Tam nie błyszczą pyszne gmachy,  
 Ale za to duże chaty,  
 I wysokie dobre dachy,  
 Lud dorodny i bogaty.  
 Po nad drogą krzyżów pełno,  
 I kapliczek tuż przy domu;

Lud odziany szarą welną,  
 Pełen serca, pełen sromu,  
 I zażywny i niemarny,  
 Pracowity, gospodarny,  
 I poważny i nabożny;  
 Jednej krwi z tym swoim panem,  
 Jednej wiary z tym kapłanem.

Pan niebywa tam wielmożny,  
 Nie rozrzutny, ani butny;  
 A ksiądz biskup Boga sławi,  
 Do dobrego wiedzie ludzi.  
 I jak ojciec błogosławi,  
 Na odpuszczenie „świętej Żmudzi!”

Lud tam żyje po zakonie,  
 A więc zda się zimny zrazu;  
 Lecz gdy serce zawrze w łonie,  
 Nie usłyszysz z ust wyrazu,  
 Lecz łza tryśnie na wpół rzewna,  
 Na wpół krwawa, za wpół gniewna,  
 Pierśi jękną z tajnej głębi,  
 Zamiar padnie, niby w studnie,  
 Lecz czas krwi tej nie wyziębi,  
 Dusza jego nie wychłodnie,  
 I wypłynie na jaw w czynie!

## JAŁMUŻNA.

Maj to był właśnie: ledwie jutrzienka  
 Rozlała blaski i wonie  
 Gdy pewna piękna, jeszcze maleńka,  
 Biegła dziewczynka przez błonie.

Nie dając spocząć strudzonej nodze,  
 Przebyła większą część drogi,  
 Aż gdzie drzewniany krzyż stał przy drodze  
 Pod krzyżem siedział ubogi.

„Pan Jezus z tobą, miła dziewczynko!  
 Dokąd to sama, o świecie?  
 Ze łzami w oczkach, z żalosaną minką.  
 Co tobie? powiedz me dziecie.“

Na taki widok, na głos staruszka,  
 Dziewczynka nagle, się wstrzyma,  
 A łzy otarłszy końcem fartuszka,  
 Mierzy go długo oczyma.

„Co ci dziewczynko, czego tak stoisz?  
 Rzekł starzec, ukój łzy twoje;  
 Czy czego pragniesz? czy się mnie boisz?“  
 — Ja się ubogich nie boję.

Bo oni biedni, kochać ich trzeba,  
 Często słyszałam od matki;  
 Zawsze im sama wynoszę chleba,  
 Gdy który przyjdzie do chatki.

Ale mój dziadku, matka mi chora,  
 Chce mnie, jak mówi, porzucić;  
 Nie spała, ani jadła od wczora,  
 Ach! jakże nie mam się smucić!

Całą noc cierpiąc żal nieustanny,  
 Klęcząc prosiłam ze łzami  
 Pana Jezusa, Najświętszej Panny,  
 By mieli litość nad nami.

I ty staruszkę módl się do Boga,  
 Proś go o zdrowie mej matki,  
 A przyjm to; choć ja sama uboga,  
 Choć to me wszystkie dostatki.

Chciałam dziś za to kawałek chleba  
 Kupić dla siebie; lecz lepiej  
 Tobie to oddam, prosz tylko nieha,  
 Niech moje mamę pokrzepi. —

— Tak jest, pokrzepi! będę go prosić.  
 Nie próżna twoja otucha;  
 Przestań dziewczynko ocz łzami rosić,  
 Bóg szczerój prośby wysłucha.



Bo kto biednemu poda jałmużnę  
 Cierpiącym boleść osłodzi,  
 Temu, rzekł Chrystus, niebo jest dłużne,  
 I Bóg go hojnie nagrodzi. —

Zaledwie skończył, aż w mgnieniu oka  
 Blask nagły błysnął do koła,  
 Z plecy szat grubych spadła powłoka,  
 Starzec się zmienił w Anioła.

Z ramion mu złote skrzydło wystrzeli,  
 Trzy gwiazdy młodą skroń wieńczą,  
 Do kolan długi strój śnieżnej bieli  
 Jasną przepasan był teczą.

Pogoda wiosny śmiała się z czoła,  
 Róża kwitnęła we tchnieniu,  
 Gdy mgłą przejrzystą oblan do koła,  
 Wzłatał ku nieba sklepieniu.

A gdy dziewczynka nagłym widzeniem  
 W dłoni strwożony wzrok chowa;  
 Z tklwym uśmiechem, z wdzięcznym spojrzeniem  
 Te jeszcze do niej rzekł słowa:

— Nie płacz dziewczynko, powróć do chatki,  
 Bóg twoją żalność obaczył,  
 I drogie zdrowie wrócił dla matki,  
 I dla cię szczęście przeznaczył.

Po kto biednemu poda jałmużnę,  
 Cierpiącym boleść osłodzi,  
 Temu i niebo zapłatę dłużną,  
 I Bóg go hojnie nagrodzi. —

To rzekł, i coraz, i coraz chyłój,  
 Wznosi się we mgle obłoka,  
 I coraz wyżej, i coraz wyżej,  
 Aż całkiem zniknął z przed oka.

Długo dziewczynka drżąca i zbladła,  
 Jak wryta na miejscu stała,  
 Przez nadzwyczajne złąkla widziadła,  
 Wracać do chatki nie śmiała.

Wróciła wreszcie — o! co za radość,  
 O! co za szczęście tam było!  
 Stało się wszystkim życzeniom zadość,  
 Matce jój zdrowie wróciło.

ANTONI EDWARD ODYNYEC.

## Z U C H.

Dzielnym goniec!  
 Skońca w koniec  
     Zbiegłem świat,  
 Gdzim się zwinął,  
 Pierzchał, ginął  
     Wróg psu brat.

Spytaj ludzi  
 W Litwie, Żmudzi,  
     Kto zna bój?  
 Czyj róg dzwoni,  
 Czyj kół goni,  
     Jako mój?

Na mój łące  
 Krów tysiące,  
     Trawa w pas,  
 Moja niwa  
 Zbożem pływa,  
     Chmiel jak las.

Jest i w domu  
 Dojrzeć komu  
     Pszczoł i drzew.  
 U mej krosny  
 Córa wiosny  
     Dziewa dziew.

Tęga laszka!  
 Wziąłem ptaszka  
     Z laskich kniej;  
 Pójdź pójdź w klatkę,  
 Żegnaj matkę,  
     Lez nie lej!

Żegnaj z ojcem,  
 Za mołojcem  
     Dalej w krzak!  
 Znaj Litwina  
 „Poganina“  
     U nas tak!

ALEXANDER CHODŹKO.

## CZEMU MI SMUTNO!

Czemu mi smutno? Czy że wiatr jesieni  
 Lasy i pola już odarł z zieleni,  
 I tam, wysoko, po niebie nademną  
 Dachem ołowiu rozbił chmurę ciemną,  
 I w uszach skargą jękliwą przewiewa.  
 I pędzi tuman liści spadłych z drzewa,  
 Jakby liść każdy był duszą człowieka,  
 Co wirem szalu i losu porwana  
 Po szlakach drogi nieznanéj nieznaną  
 Leci, aż padnie smutna i daleka,  
 Gdy wiatr ucichnie lub jej zbraknie siły  
 Nad brzegiem jakiegóś tam obcégó mogiły? . . . .

Czemu mi smutno? Czy że tu w około  
 Żadne przyjaźnią nie promieni czoło,  
 Żadna dłoń bratnia z podróży nie wita,  
 Żaden głos chętny: co słycać? nie pyta;  
 I że tak wszyscy w różne chodzą strony,  
 Każdy ku swojégó gwiazdzie obrócony,  
 Każdy niedbały co na drodze jego,  
 Przepaść, czy kamień, czy serce bliźniego,  
 Czołga się podle, lub zuchwale leci,  
 Byle tam stanął, gdzie ta gwiazda świeci,

Co w oczach jego tak piękna, bo złota,  
A w oczach Bożych garść łez, krwi i błota.

Czemu mi smutno? Czy to że widziało  
Mądrości świata na duszę mi padło  
I tak głęboko zapuściło szpony,  
Że już nie pomnę, że już mi się nie śni.  
Ani o cichej modlitwie zmówionej  
Na łonie świętej, dobrej mojej matki,  
Ani o szczęściu naszej biednej chatki,  
Ani o starój ojców naszych pieśni,  
Pieśni pamiątek — bardzo, bardzo starój.  
Pono na nutę nadziei i wiary.

Czemu mi smutno? Czy że moi wszyscy  
Duszą jednacy, serca sercem bliscy,  
Już sobie dawno pod ziemią spoczęli,  
Już sobie dawno po trudach wytchnęli;  
A ja samotna jak ptaszyna biedna,  
Co z swego rodu zostanie się jedna,  
Gdy inne w kraje szczęśliwaze ulecą,  
Sama zostałam — i gdy gwiazdy świecą,  
To ja tam patrzę, czy która nie gaśnie  
Błada gwiazdeczka, lecz którejby właśnie  
Duchy mojego życia promień zwiędły,  
Jak mi to nańka mówiła, uprzedły.  
Oh! bo mi głucho i pusto na ziemi,  
Oh! bo mi tęskno, tęskno za mojami,

Co się w dębowej trumnie położyli,  
 Co poszli sobie jakąś ciemną drogą,  
 Lecz poszli razem, a mnie zostawili  
 Tak samą, że już nie mam kochać kogo!

Więc smutna jestem — smutna, bo wiatr wieje,  
 Bo między ziemi ludźmi sama chodzę,  
 Bo mi nauka zabiła nadzieje,  
 Bo mi dokoła śmierć pobrała srodze  
 Wszystkicha kochanych. Oh! tak nie jest przeciel

Meźniejsza na te ciosy dusza młoda:  
 Wiem, że nie zawsze na niebie pogoda,  
 Wiem, że nie zawsze cnota jest na świecie,  
 Zdawnam przywykła w jesienne zawieje  
 Czekać, aż kiedyś słońce zajaśnieje;  
 A złością ludzką dobrego nie mierzyć,  
 Boć cnota ludzki wyraz, więc w nią wierzyć,  
 Wierzyć bezwzględnie, bez warunków szczerze,  
 Jak w przyszłość, w mądrość, w litość Bożą wierze.  
 Oh! nie! mnie nigdy ksiąg uczonych karty  
 Świętego słowa w sercu nie zaćmiły;  
 A Bóg to wyraz niczém nie zatarty,  
 Co jak go wieki w naturze skreśliły,  
 Tak znowu wieki z wieków się wypręda,  
 I zawsze w końcu! Bóg — Bóg, czytać będą.  
 Po wszystkie strony był lot myśli mojej,  
 Wszystkicha ustami zaczerpnęłam zdroi,

I próbowałam pomysłu każdego,  
A tłem wszech rzeczy było imię Jego. —

Więc też spokojna na Boga się zdałam,  
I nie tak gorzko umarłych płakałam,  
Ja co mam umrzeć — oh! ja nie na groby  
Tyle wylałam cierpienia, żaloby,  
Ale mi smutno — bo dziś jako cnotę  
W serca brać trzeba boleść i tęsknotę,  
I Bóg sam duszę dał mi do nich zdolną —  
A chyba w sądu godzinę okrutną  
Ja powiem Bogu, czemu byłam smutną,

Bo ludziom mówić niewolno!

ŻMICHOWSKA.



## SKARGA WIESZCZA.

Biedny wieszczu bez słuchacza,  
 Bez strun żywych gęśli biedna!  
 Jak ta płaszka, co rozpacza  
 Na pustyni sama jedna.

Cóż ci potém, że dokoła  
 Marzysz taki raj prześliczny?  
 Oko płacze, serce woła;  
 Odpowiada gwar uliczny,

Cóż ci potém, że w podniebie  
 Myśl wyrywa się skrzydlata?  
 Chcesz co ziemskie zrzucić z siebie,  
 Ciemna więzi cię komnata.

Strumyk brzękiem, echem skała,  
 Kwiatek wonią się odzywa;  
 Tobie pióro, karta biała —  
 Jeden tylko wieszcz nieśpiewa.

Oj, śpiewali niegdys oni,  
 Za słowiańskich starych czasów,  
 Kiedy gęśł im dagała w dłoni  
 Śród Peruna świętych lasów.

Oj, śpiewali korowodem  
 Na teremie Włodzimierza,  
 Gdy róg żubra krążył z miodem  
 Od rycerza do rycerza.

Lub gdy lirnik z siola w siolo  
 Szedł na gody, wieczornice;  
 Pieśnią rzewną, to wesolą,  
 Rospromieniał, chmurzył lice.

Dla molojców i dla dziewic  
 O kukułce śpiewał chwilę;  
 Znowu śpiewał, jak królewic  
 Sławny Marko zwalczył Wilę.

To od Dniepru, od Dunaju,  
 Znowu dumkę Haliczanek; —  
 Jako dziewczka kwiatki w maju,  
 Duch słowiański splatał w wianek.

Tak bywało za Lumira,  
 Za Bojana . . . . , teraz jeszcze  
 Serbska gęśła, ruska lira  
 Konająco zaszeleszcze.

Chwytaj, chwytaj czociem, uchem,  
Dźwięk w powietrzu zanim skona,  
Piewco mlody! z silnym duchem,  
Gęśli! — nowo nastrojona.

Twój świat ciasny się rozszerzy  
W stepy, góry, nieboskłonem;  
Gdy zapiejesz, gmin się zbieży,  
Abyś wstrząsał jego łonem.

Kiedyż, kiedyż dnie przeminą  
One czarne — kiedyż przecie  
Pieśnie wiezców znów popłyną  
Z siola w siolo; skroś po świecie?

SIEMIŃSKI.

## WIESZCZBA.

Jasne słońko! Czemu z ciebie  
 Jasność bije taka blada?  
 — Jak mam świecić, gdy po niebie  
 Ciebie krogulca pada?

Skowroneczku drżący z trwogi,  
 Czemu pierzchasz z wonnych błoni?  
 Jak mam nie drzyć, kiedy srogi  
 Krogulec mię goni?

O skowronku, ranny dzwonku,  
 Nie trać siły, patrz na chmury:  
 Przyjdzie sokół złotopióry,  
 Zbawi cię skowronku!

Już go widzę! Lśni od rosy . . . .  
 Pierś krogulca w szpony okuł.  
 Świeci słońce . . . . pod niebiosy  
 Lecą wieszcz i sokół! . . . .

Tak śpiewał gęślarz prorok; — lecz mijały lata,  
A Lachom coraz twardsze ciążyły kajdany;  
A z chmury łez nie wylata  
Sokół obiecany!

Aż i łez się przebrało . . . . już serce człowieka  
O bóstwach wątpić zaczyna . . . .  
Tej tylko chwili bóstwo Pomsty czeka:  
Bije godzina!

DEOTYMA.

## ŚMIERĆ OLGERDA.

Smutno na Wilnie! Olgerd zwołał braci  
Ze syny swymi, żeby ich pożegnać,  
I róg Alusu\*) ostatni wychylić,  
Dłonią ich wyschlą ścisnąć raz ostatni.

Olgerda oczy sen już wieczny mruży.  
Dosyć mu boju, żyć już nie chce dłużej;  
Synom dorosłym i braciom zostawi  
Litwę na rękach, a starszemu swemu  
Wilno stolicę i nad braćmi władzę.

Na Turzėj górze Olgerd stary siedzi,  
Po Świętej patrzy grobowej dolinie,  
Stos nakłaść kazał i braci wygląda.  
Na Swintorozie bierwiona\*\*) sosnowe  
I dęby wałą ze świętego gaju.  
Stoi stós, na nim łoże Olgerdowe  
On patrzy na stós, na łoże pogląda.  
Wilię żegna i gród Gedymina,  
Dymy Żniczowe i swych ojców groby.

---

\*) Alus, piwo.

\*\*) Bierwiona, grube drzewo.

Aż żona, księżna Julianna, do niego  
 Idzie i mnicha za sobą przywodzi.  
 — Mężu mój! Panie! — rzecze — życie całe  
 Tyś wiódł pogańsko! umrzyj Chrześcianinem!  
 Syny twe wiarę swój matki przyjęli,  
 Po Rusi poszli chrztem świętym omyci.  
 Dokoła krzyże Chrystusowe stoją.  
 Patrzą ci w serce i okna zamkowe.  
 Wszak tyś sam nieraz starą schylił głowę  
 Bogu twój żony. Umrzyj w mojej wierze!

Olgerd się podniósł, siwą trzęsie głową:  
 — Dajcie mi skonać, jak marli ojcowie,  
 Wśród swoich, w uczcie, z rogiem miodu w dłoni.  
 Nie chcę téj wiary, dla której od braci,  
 Od dziadów moich oddalić się trzeba,  
 I nie chcę bez nich chrześcijańskiego nieba. —

Mnich mu coś szepce, on mnicha nie słucha.  
 — Żyłem z mym ludem, umrę z moim ludem!  
 Wpuścić Kiejstuta, Lubarta, Jerzego,  
 I syny moje, i Jagiellę mego.  
 Niechaj do uczty nakrywają stoły,  
 Niech Alus niosą, niech Bojary moje  
 Przyjdą, kniaziowie i dworzanie wierni.  
 Ty rękę podaj i wiedź mnie do braci —  
 Rzecze do sługi. Otwarli podwoje,  
 I stary Olgerd wita rodnię swoją.

A oni smutni pospuszczali głowy,  
I nic nie słycać, tylko starca piersi  
Ciężkim oddechem głośno się kołyszą.

On usiadł, wzrokiem po zebranych toczy.  
A już mrok śmierci okrywa mu oczy,  
Już ledwie swoich poznaje po głosie;  
Sam za róg bierze, napelniać go każe  
— Do was, o bracia, do was, syny moje,  
Ostatnia czara i ostatnie słowa!  
Olgerd za ojcem pójdzie Godyminem;  
Syn już za ojcem, on tęskni za synem;  
Olgerd się dosyć nażył, nawojował,  
Młodszym ustąpi i miecza i życia;  
Tobie, Jagiello, Wileńskiej stolicy  
Prawda? Kiejstucie! ty synu mojemu  
Nie będziesz bronił po ojcu puścizny?  
My z tobą stary, długi wiek przeżyli,  
Sercem na sercu. Zostawiam ci dzieci;  
Bądź ty im ojcem, a wy mu synami,  
A jego dzieciom braćmi rodzonymi  
Na waszej zgodzie los Litewskiej ziemi.  
Patrzcie, z Kiejstutem, z Lubartem my zgodni  
Iluśmy wrogom nastawiali głowy!  
Naprzeciw wielu kraj nasz obronili!  
Bogi tam wiedzą, co za los was czeka,  
Lecz Bogi zgodzie bratniej błogosławią  
Do was Kiejstucie! — I rękę wyciągnął.



Podał róg bratu — Bądź mi zdrowy, bracie!  
 Już nam aż w Wschodniej zobaczyć się ziemi  
 Z tobą! ale już nie z braćmi wszystkimi!  
 Tyś Chrześcianin — i z tobą, Jawnuciel!  
 Żegnajcie, bracia! Nad Olgerda dziećmi  
 Bądźcie opieką, zastąpcie im ojca!  
 Jeszcze raz, stary Kiejstucie, dłoń ściśnij.  
 Już cię nie widzę, niech usta uczują,  
 Niech głos posłyszę. Patelo\*) koło mnie  
 Leci skrzydłami czarno okrytymi  
 Żegnajcie, dzieci! duch mój będzie z wami;  
 Żegnajcie, słudzy, i wierne psy moje!  
 Ty, mój sokole! ty, mój mieczu biały!  
 I ty, Julianno! ty jeszcze, Kiejstucie!  
 Podajcie miecza, niechaj z mieczem w dłoni  
 Skonam, gdy Bogi mi nie dozwolily  
 Gedyminową śmiercią umrzeć w boju?  
 Niech w rogi dzwonią, w Lietaury uderzą.  
 Niechaj mi nocą pieśń moją bojową!

Mówił, i zwolna starą kłonił głowę;  
 Broda mu siwa na piersi splywała;  
 Miecz ścisnął jeszcze, lecz ręka spadała;  
 I ani żony płacz, ani lzy dzieci,  
 Ani wojenne drużyny okrzyki,  
 Już go na ziemię odwołać nie mogły;

\*) Patelo, duch, przewodnik umierających.

Ani dźwięk rogów nie odwrócił ducha,  
Co spieszył dziadów w Wschodniej witać ziemi.

Mówił, a płacz się rozległ po świetlicy.  
Jeden był Kiejatut, co łzy nie miał w oku,  
Bo jego boleść duszę ucisnęła  
I łzom zaparła na powieki drogę.

KRASZEWSKI.

## O PRZEZNACZENIU CZŁOWIEKA.

Patrz! oto strumień co płynie  
 Po tej kwiecistej dolinie  
 W górze czysty, tu zmacony  
 Tam spokojny, tu spieniony;  
 Gdzie lasek dolinę kończy  
 Z większą się rzeczką połączy;  
 A ta rzeczka płynąc dłużej  
 Przez bory, pola i knieje  
 Po rozmaitej podróży  
 W większą się rzekę wyleje,  
 I mówią że gdzieś daleko  
 Rzeka przestanie być rzeką . . . . —  
 Pytałem wczoraj strumyka  
 Po co płynie, po co znika?  
 Lecz strumień, rzeczka i rzeka  
 Niezrozumiały człowieka,  
 Borem, polem i doliną  
 Same niewiedzą gdzie płyną!  
 Tak życie nasze nim minie  
 Gdzieś do celu swego płynie;

A chociaż na wzór strumienia  
Niezgadniem przeznaczenia;  
Z strumieniem, rzeczką i rzeką  
Płyńmy w krainę daleką  
W bystrym, czy powolnym biegu  
Na wieczności staniem brzegu;  
Życia naszego bezcelność  
Tam się zmieni w Nieśmiertelność."

GRZYMAŁA.

## CZEGO NAM TRZEBA.

Daleko, daleko,  
 Te wody już cięką,  
 Przy których widziałem  
 Co tu wyśpiewałem.  
 I dęby spróchniały,  
 Co przy chacie stały,  
 Pod których konary,  
 Siadł dudlarz stary,  
 Co się po wsiach włóczył  
 I piosenek uczył;  
 Ale w myśli mojej  
 Wszystko żywo stoi.

Sosna rosochata,  
 I na łące rzeczka,  
 Kędy jaskuleczka  
 Latała skrzydłata;  
 A białe gołębie  
 Siadały na dębie;  
 A w oknie siadała  
 Panioneczka biała,  
 Co pieśni śpiewała.

Ach! w niebie kraj taki  
 Jak nasze równiny,  
 A jakie chłopaki,  
 A jakie dziewczyny,  
 Ach Boże jedyny!

A Wisła, ta rzeka  
 Co w morze ucieka,  
 Co siwa u brzegu  
 A modra z daleka  
 Gdzie płynąc na tratwie,  
 Flia przygrywa dziatwie,  
 I wiezie za morzo  
 Mazowieckie zboże,  
 Ach! Bożeż mój, Boże!

A kaździuchne pole  
 Równe jak po stole;  
 To jak z ciepłą wiosną  
 Pszenice porosną,  
 A zboże kłosieje  
 A wiatery powieje  
 To zda się w tórn zbożu,  
 Że płyniesz po morzu,  
 Tak wietrzyk kłosami  
 Buja jak falami.

Ach! kraj nasz jak błogi,  
 Że widząc te niwy,

Choć człowiek ubogi  
 A jednak szczęśliwy;  
 I takiej natury,  
 Że się nie oddali,  
 Choćby mu dawali  
 Nawet złote góry.

Zielona dąbrowa,  
 Stado koni biega,  
 A jak się wierzbową  
 Fajarka rozlega! . . . .  
 A jak się tam bawia,  
 Jakie bajki prawią!

To też dawniej było  
 Wszystko się bawiło;  
 Tak w tym kraju miło! . . . .

Teraz tam inaczej:  
 Teraz nie zobaczy  
 Tych wszystkich radości,  
 Same tam żałości.  
 To po dawnych dworach  
 Srebro stało w worach,  
 Na srebrze jadałi,  
 W jedwabiach chadzali;  
 Dziś jadają z gliny,  
 Mój Boże jedyny!

Lecz choć nie ma wiała  
Bogactwa, wesela,  
Chociaż więcej biedy  
Niżli było kiedy;  
Wspomnij jeno komu  
Że ma odejść z domu,  
I z domu i z kraju:  
Łzami się zaleje.  
Na śmierć zatęchnieje  
Po rodzinnym kraju.

TEOFIL LENARTOWICZ.



### TEŚKNOTA ZA KRAJEM.

A znasz ty kraj ten gdzie brzegiem strumieni  
 Niezapominki i kaliny rosną;  
 Gdzie zboż falami niwa się płomieni  
 A bory ómią się jedliną i sosną;  
 Gdzie chmiel złociste rozwiesza festony  
 Po szczytach olszyn usrebrzonych mchami,  
 Gdzie biała brzoza i jawór zielony  
 Blyszczą malownic nad łąk kobiercami?

Oh! za tym krajem  
 Jakby za rajem,  
 Codzień wzdycham i płaczę, —  
 I nie będę szczęśliwy  
 Aż te lasy, te niwy,  
 Jeszcze raz choć obaczę!

A znasz ty kraj ten gdzie wzdłuż bitéj drogi  
 Co płynie wstęgą pod topoli cieniem,  
 Każdy wędrowiec, czy pan czy ulogi  
 Wita przechodniów Chrystusa imieniem; —  
 Gdzie szary bocian na dachu przedsienia  
 Wije swe gniazdo za wiosny powrotem;  
 Gdzie krzyż z drzewa lub święci z kamienia  
 Stoją na straży przed winak kolowrotem?

Drukiem Trowitarscha i Syna w Berlinie.

ERHARD  
FRANKE  
BIBLIOTHEK



Biblioteka Uniwersytetu  
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A 17691

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie  
Biblioteki



1000173374